

Mysł Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT—MONTHLY REVIEW

Nr 100 (Rok VI, Nr 5)

Lipiec, 1946

Cena (Price) 2/-

WYBORY w EUROPIE

OD CHWILI zakończenia działań wojennych ludność osiemnastu krajów kontynentu europejskiego uczestniczyła w różnego rodzaju głosowaniach: przeważnie były to wybory parlamentarne, często wybory do lokalnych i prowincjonalnych ciał samorządowych — w dwu zaś krajach: Francji i we Włoszech także referenda, dotyczące zasadniczych spraw ustrojowych. Czy z wyniku tych głosowań da się wyciągnąć już wnioski ogólne co do postawy ideowej i politycznej społeczeństw Europy po tej wielkiej zawierusze, jaką była nie tylko Druga Wojna Światowa, ale także upadek hitleryzmu i faszyzmu oraz trwająca dotąd sowiecka okupacja środkowo-wschodniej części kontynentu?

Odpowiedź na to pytanie brzmieć musi negatywnie, jeśli chodzi o kraje, w których głosowanie miało charakter monopartyjny, to jest nie dający uczestnikom możliwości wyboru między paru przynajmniej stronnictwami, czy kierunkami politycznymi. Taki właśnie charakter miały wybory do Najwyższego Sowietu Z.S.S.R. oraz do "parlamentów" Jugosławii i Bułgarii. To samo w pewnym stopniu powiedzieć można o wyborach w Portugalii, w których opozycja zupełnie udziału nie wzięła. Pozostaje jednak jeszcze czternaście innych krajów, w których głosowanie miało istotnie charakter wyboru — bardziej lub mniej swobodnego — między rywalizującymi kierunkami. Otóż nie ulga wątpliwości, że wynik tej rozgrywki wskazał wcale wyraźnie na prądy i tendencje, nurtujące w społeczeństwach europejskich.

Pierwszą z nich jest duży — w zestawieniu z czasami przedwojennymi — wzrost sił stronnictw komunistycznych, kierowanych z Moskwy. Przyczyny tego zjawiska są natury dosyć różnorodnej. Jedną z nich, bodaj czy nie najważniejszą, jest quasi-religijny charakter grup komunistycznych, ich fanatyzm i ślepa wiera, połączona z wypróbowaną techniką organizacyjną i absolutną bezwzględnością w zakresie środków działania. Ruchy tego rodzaju mają zawsze szanse przyciągnięcia do siebie znacznej liczby zwolenników, jeśli nie trafiają na opór

co najmniej równie silny pod względem ideowym.

Jeśli chodzi o dwa czołowe kraje łacińskie: Francję i Włochy, to w grę weszły tu jeszcze inne czynniki. Wzrost sił komunizmu i w ogóle skrajnej lewicy we Francji już w okresie przedwojennym wywołany był w znacznym stopniu egoizmem materialnym francuskich warstw posiadających i faktem, że w kraju tym nie udało się nigdy stworzyć zwartej ideowo stronnictwa, które by posiadało — tak jak polskie Stronnictwo Narodowe — charakter ogólnonarodowy i ponadklasowy. We Włoszech sytuacja była w dużym stopniu analogiczna, później zaś pewne metody, stosowane przez faszystów, stwarzały podłoże psychologiczne, sprzyjające przejściu mas robotniczych z Partii Faszystowskiej wprost do Partii Komunistycznej. W rezultacie komuniści uzyskali w obu głosowaniach do konstytuandy francuskiej około 26% ogółu oddanych głosów, a w wyborach do parlamentu włoskiego 19% wszystkich głosów. W mniejszych krajach Europy zachodniej, gdzie słabsze jest natężenie konfliktów społecznych, mniejszy też był przyrost głosów komunistycznych.

Ostra reakcja antykomunistyczna, wywołana w dużej mierze doświadczeniami wojny i zachowaniem się Armii Czerwonej, zaznaczyła się w Austrii. W krajach, pozostających pod specjalnie silnym, a z zewnątrz nie hamowanym naciskiem sowieckim, komuniści uzyskali poważny odsetek głosów (na Węgrzech 18%, w Słowacji 30%), duża jednak większość wyborców poparła ugrupowania antykomunistyczne. Nadszpiegowany sukces komunistów w Czechach i na Morawach wytłumaczyć można tylko specyficzną postawą ludności czeskiej, która sądzi, że przez tego rodzaju "przykucnięcie" będzie mogła lepiej przebrnąć obecne ciężkie czasy.

Ogólnie jednak stwierdzić można, że fala komunistyczna na kontynencie, która wydawała się tak groźna jeszcze pół roku temu, została zahamowana. Nastroj dezorientacji i zatrwożenia przełamany jest coraz silniej przez świadomą wolę obrony podstawowych wartości naszej cywilizacji. Przejawem tego

są sukcesy odniesione przez M.R.P. we Francji, Chrześcijańską Demokrację we Włoszech, oraz różne ugrupowania o charakterze narodowym i chrześcijańskim w innych krajach.

Powodzenie tych ruchów świadczy najpierw o tym, że szerokie rzesze uznają prymat pierwiastka duchowego nad materialnym i że pragną, by religii i płynącym z niej zasadom moralnym dane było właściwe miejsce także w życiu państwowym i społecznym. Równocześnie wyrażona w głosowaniu wola wyborców stanowi silną afirmację pierwiastka narodowego. Fakt, że za właściwego przywódcę i inspiratora M.R.P. uchodził generał de Gaulle, twardy obrońca praw Francji na zewnątrz, niewątpliwie przyczynił się do sukcesu tego ugrupowania. Podobnie działać musiała narodowa postawa przywódców włoskiej Chrześcijańskiej Demokracji, w szczególności premiera Gasperiego.

Te wielkie rzesze ludności Europy, o których mówimy obecnie, głosowały zarazem przeciw totalizmowi wszelkiego typu, natomiast za ustrojem konstytucyjnym i umiarkowanym, za rządami prawa, kontrolowanymi przez reprezentację ogółu społeczeństwa. W zakresie społecznym i gospodarczym wypowiedziały się za rozsądnymi reformami, obejmującymi uspołecznienie tych działań produkcji, gdzie to jest niezbędne, z zachowaniem jednak w szerokiej mierze zasady indywidualnej własności i inicjatywy. Określić to ogólnie można jako odrzucenie zarówno przerostów kapitalizmu, jak prób włoczenia całego życia społeczno-gospodarczego w ciasne i dławiące ramy doktryny Marksa.

Trudno dziś oczywiście przewidzieć dokładnie, w jakim kierunku pójdzie dalszy rozwój polityczny i społeczny naszego kontynentu, wylaniające się jednak z odmetów wojny zarysy dają podstawę do otuchy i optymizmu. Wierzymy, że i naród polski, dziś ujarzmiony i poddawany niegodziwym zabiegom w rodzaju sławetnego "referendum" z dn. 30 czerwca r.b., odzyskać będzie musiał prawo przemawiania głosem własnym i niesfałszowanym.

JĘDRZEJ GIERTYCH

SPRAWA NASZYCH ZIEM WSCHODNICH

BILANS DWUDZIESTOLECIA I PERSPEKTYWY PRZYSZŁOŚCI

(Dokończenie)

WYBUCH wojny przyniósł ze sobą dowody dużego zcementowania Polski i instynktownej wierności wobec niej również i obcojęzycznej ludności kresowej. Zarówno masy białoruskie, jak nawet w niemalym stopniu i ruskie ogarnięte były tym samym zapalem do walki z niemieckim najeźdźcą, co masa ludnościowa rdzennie polska w innych dzielnicach. Wzywane, jako rezerwiści, pod broń, stawiały się nie tylko karnie, lecz ochoczo — i w kampanii wrześniowej były się lojalnie i dzielnie.

Klęska przyniosła z sobą załamanie się nastrojów naszej ludności kresowej. W końcowej fazie walk wystąpiły na naszych ziemiach wschodnich czynnie organizacje terrorystyczne o charakterze komunistycznym, a w Ziemi Czerwieńskiej i na Wołyniu przede wszystkim o charakterze nacjonalistycznie ukraińskim, których akcja przewaliła się przez nasze ziemie wschodnie krótką, lecz gwałtowną burzą anarchii, rozlewu krwi i pożogi. Szeroka masa ludności białoruskiej i ruskiej zachowała się wobec tych wydarzeń najzupełniej biernie; czasem z sympatią i aprobatą, czasem — o wiele częściej, niż to się ogólnie mniema — z platonicznym potępieniem i z uczuciem zgrozy, najczęściej z głęboką obojętnością. Załamanie się państwa polskiego, w pierwszej chwili, pociągnęło za sobą odwrócenie się sympatyj mas ludności kresowej od Polski, a już co najmniej zupełnie o Polsce zwątpienie.

W ciągu lat okupacji nastroje i sympatie naszej ludności białoruskiej i ruskiej zaczęły ewoluować w dwóch różnych kierunkach. Białorusini i Poleszacy, po przelotnym, ufnym ustosunkowaniu się wobec sowieckich "nowych panów", głoszących hasło obrony interesów prostego ludu, i po całkowitym, bardzo szybkim rozczarowaniu się do sowieckiego reżimu, skryształizowali się i umocnili w uczuciach polonofilijskich. Rusini wołyńscy i halicycy przyjęli na ogół postawę antypolską, skupiając się przy sztandarze niepodległości ukraińskiej i zwracając się sympatiami i nadziejami ku Rzeszy Adolfa Hitlera.¹⁾

Należy przyjąć, że w wyniku zarówno rządów polskich w latach 1919-1939, jak i przeżyć i doświadczeń pod rządami sowieckimi, niemieckimi i ponownie sowieckimi w latach 1939-1946, Białorusini i Poleszacy ugruntowali się jeszcze i skryształizowali w postawie, jaką zajęli już w wyborach 1906 roku do rosyjskiej Dumy: w postawie polonofilijskiej, lub pro prostu polskiej. Mogli oni, w długich okresach czasu pod okupacją nie mieć nadziei, by rządy polskie znów na ich ziemie wrócili, ale gdy tylko choćby iskierka takiej nadziei się pomiędzy nimi pojawiała, budziła ona wśród nich żywiołowy zapal. Świadczy o tym przyjęcie i poparcie, jakiego doznała partyzantka polska w latach 1943

i 1944 na ziemiach północno-wschodnich, świadczy również sposób, w jaki lud kresowy ustosunkował się do rządów sowieckich poczynając od roku 1944, zgłaszanie się go przy poborze nie do oddziałów rosyjskich, lecz do polskich formacji Berlinga, a wreszcie liczny udział Białorusinów w ruchu przesiedleńczym poza "linię Curzona".

Żaden godny uwagi ruch polityczny o obliczu białoruskim (czy na Polesiu ukraińskim) się w naszych województwach wschodnich nie ujawnił. Próby organizowania obozu białoruskiego przez Niemców były czymś tak sztucznym, że dadzą się chyba tylko porównać z akcją organizowania odrębnej narodowości "Goralen" na Podhalu. Sami Niemcy — jak to wynika z wielu ich wypowiedzi i poczynań — mieli poczucie, że kraj ten ma oblicze polityczne polskie.

Dwie tylko siły ujawniły się na polskiej Białorusi i Polesiu: polskość i komunizm. Ale komunizm w swej istocie na wskroś antychłopski (a Białoruś i Polesie to są kraje chłopskie), skompromitował się na tych ziemiach w oczach jej ludności doszczętnie i kompromituje się nadal. Lud białoruski i poleski, w swych instynktach cywilizacyjnych zachodni, a w szczególności do głębi przywiązany do instytucji prywatnej własności, żywiołowo odwraca się od Rosji. Na placu zostaje więc jedynie — dążenie ku Polsce.

1) Autor niniejszych słów spędził lata wojny w niewoli niemieckiej. Może on przytoczyć z terenu obozów jenieckich, w których sam był, lub których stosunki zna ze szczegółowych opowiadań, interesujący fakt, potwierdzający powyższe twierdzenie. Jeńcy Białorusini i Poleszacy, na ogół, nie różnili się swą postawą od jeńców narodowości polskiej, mieli postawę patriotycznie polską, uważali się za żołnierzy polskich, byli wierni przysiędze; wierzyli w odbudowanie Polski niepodległej; z rodzinami swymi najczęściej korespondowali po polsku, gdyż zresztą w innym języku pisać nie umieli. Jeńcy Rusini z Wołynia i Ziemi Czerwieńskiej z chwilą dostania się do niewoli zajęli w dużym stopniu postawę odrębną od reszty polskich jeńców, — przyjazną wobec Niemców i nieraz wr. cz kwalifikującą się pod pojęcie drady. (Wśr. d znanych mi bliżej, charakterystyczne wyjątków, których nie mogę, z drugiej strony, pominąć, wymienię przede wszystkim dwóch moich kolegów: por. D., niestety zabity w 1944 przez aliancką bombę lotniczą, prawosławny Rusin wołyński, oficer rezerwy, uważający się pod względem narodowym za Polaka, gorący polski patriota i gorliwy uczestnik wszystkich "podziemnych" poczynań w środowisku jenieckim; oraz kpt. Cz., oficer zawodowy, prawosławny Rusin wołyński, syn prawosławnego duchownego, uważający się również za Polaka i zajmujący w niewoli postawę pod każdym względem bez zarzutu).

Dzisiaj, wielkie masy rdzennie polskiej, katolickiej ludności zmuszane są Kresy opuścić. Lud białoruski i poleski zostaje się sam. Zostaje się bez polskich przywódców. Ale jest dziś tak propolski, jak nie był w przeszłości chyba jeszcze nigdy.

Gdyby stan rzeczy obecny trwać miał długo, rzecz prosta, nie pozostałoby to bez skutków; Sowiety byłyby zapewne zdolne z czasem lud ten zasymilować i zruszczyć.

Ale jeśli ten stan rzeczy będzie trwał krótko? Jeśli stosunki się zmienią?

Trzeba stwierdzić, że nawet bez swej dotychczasowej, katolicko-polskiej ludności, nasze ziemie północno-wschodnie mają dziś takie oblicze, że jedynym zgodnym z wolą i dążeniami ich obecnej ludności rozwiązaniem jest ich przywrócenie Polsce. Oczywiście, nie potrzeba dodawać, że w wypadku przywrócenia ich Polsce nic nie stałoby na przeszkodzie powrotowi do rodzinnych gniazd wysiedlonej z tych ziem ludności rdzennie polskiej.

*
*
*

Doktryną polityczną obozu ukraińskiego było zawsze porozumienie z Niemcami i nadzieja na Niemcy. Zarówno republika ukraińska nad Dnieprem, jak zachodnio-ukraińska w Ziemi Czerwieńskiej zawdzięczały przelotną swoją egzystencję pod koniec pierwszej wojny światowej niemieckiemu poparciu. W ciągu dwudziestolecia między wojnami bazą działalności ukraińskiej irredenty w Polsce, źródłem pieniężnych subwencji, kuźnią, w której przygotowywał się ruch terrorystyczny, oraz — *last not least* — źródłem politycznych inspiracji, była Rzesza. Nic więc dziwnego, że zarówno w okresie przelotnego pobytu wojsk niemieckich na Wołyniu i pod Lwowem w roku 1939, jak w czasie trwałej okupacji niemieckiej po roku 1941, polscy ukraińcy odnieśli się do Niemców z entuzjazmem, jak do sprzymierzeńców i zbawców.

Niemcy zawiedli jednak ukraińskie nadzieje. W przeciwieństwie do niektórych innych punktów Europy Środkowej, gdzie niemieckie, polityczne i wojskowe zwycięstwa pociągnęły za sobą powstanie nowych, nietrwałych zresztą, organizmów państwowych (Słowacja, Chorwacja) — ani na polskich ziemiach południowo-wschodnich, ani nad Dnieprem państwo ukraińskie pod opieką niemiecką w czasie drugiej wojny światowej nie powstało; Ziemia Czerwieńska została wcielona do Generalnego Gubernatorstwa, a więc potraktowana jako część Polski, ziemie nadniedprzańskie, do których przyłączono także Wołyń, oraz część Polesia zorganizowane zostały pod okupacją niemiecką w t. zw. *Reichskommissariat Ukraine*, który był tylko jednostką administracyjną niemiecką.

Rozczarowanie w kołach ukraińskich było ogromne. Nie przeszkodziło ono jednak ukraińsko-niemieckiej współpracy. Polscy ukraińcy wystawili ochotniczą dywizję wojsk S.S., oraz na ogół oddali się do dyspozycji

władz okupacyjnych niemieckich i spełniali rolę narzędzi wykonawczych okupanta, równie gorliwie, a nieraz z o wiele większą dozą bezwzględności, okrucieństwa i nienawiści, jak *Volksdeutsche* w innych stronach Polski. Polacy ziem południowo-wschodnich, a nawet i Polacy w Warszawie i innych punktach Polski centralnej, przyzwyczajali się widzieć w ukraińskim urzędniku, policjancie, czy żołnierzu w służbie niemieckiej jeszcze bardziej znienawidzonego ciemięczyca, wyzyskiwacza i okrutnika, jak w niemieckim funkcjonariuszu Gestapo, czy S.S. Smutne te doświadczenia wytworzyły w szerokich masach polskiej ludności ubolewania godny, chociaż zrozumiały uraz niechęci wobec Rusinów w ogólności.

Niektórzy ukraińcy zapatrzni we wzory niemieckie i będący pod wrażeniem imponującej im swą bezwzględnością i siłą niemieckiej polityki, postanowili skorzystać z niejaki swobody działania, jaką się cieszyli pod rządami niemieckimi zarówno z powodu niemieckiej wobec siebie tolerancji, jak z powodu bezkarności, zrodzonej przez anarchię stosunków w erze przewlekającej się wojny — i rozwiązać krępujące ich w ich politycznych zamierzeniach na przyszłość zagadnienie polsko-katolickiej mniejszości w Ziemi Czerwieńskiej i na Wołyniu metodą niemiecką: drogą rzezi. Pchnęli oni na Polaków zbrojne watahy, podburzonej ruskiej ludności, ograniczonej politycznym wpływem ukraińskiego obozu. (Jest jedną z win narodu niemieckiego, przeciwko człowieczeństwu, europejskiej cywilizacji i etyce chrześcijańskiej, że polityką swoją nie tylko w latach 1939-1944, ale i na wiele lat przed tym, przyczynił się on do potwornego zepchnięcia dużego odłamu masy ludnościowej ruskiej z poziomu życia cywilizowanego na poziom zdzi zienia, zarazem nowoczesnie — nihilistycznego a będącego odrodzeniem drzemających w Rusinach instynktów anarchiczno-stepowych). Ludność polska, zagrożona zagładą, rzecz prosta chwyciła się samoobrony. Przez szereg miesięcy Wołyn, a częściowo i Ziemia Czerwieńska były widownią wydarzeń, przypominających stosunki z pogranicza maronickiego Libanu i gór Dżebel-Druz z ubiegłego stulecia: polskie wsie, otoczone ostrokołem, uzbrojone, w braku broni palnej, częstokroć tylko w widły i kosy, odierały ataki watah ukraińskich — i przezwane były zdobywane, przy czym ludność ich, nie wyłączając starców, dzieci i niemowląt, była wycinana w pień, a budynki palone. Wydarzenia te pociągnęły za sobą narodzenie się, w mieszanych etnograficznie lub pogranicznych polsko-ruskich okolicach, nastrojów nienawiści polsko-ruskiej, o napięciu vendetty.

Byłoby fałszem twierdzić, że zbrodnie, dokonywane na Polakach, były dziełem tylko bardzo drobnej mniejszości między Rusinami; trzeba przyjąć, iż dość duży odłom polski czujących Rusinów w zbrodniach tych jest niewątpliwie współwinny. Mimo to, byłoby tak samo fałszem twierdzić, że udział w winie ponoszą w zycy Rusini, bez wyjątku. Trzeba stwierdzić, że rzeź polskiej ludności wywołała ze strony ruskiej także i stanowcze i odważne protesty, — m. in. z kół unickiego, ukraiński kierunek reprezentującego duchowieństwa.

••

Lata 1944-1946 przyniosły ze sobą: 1) ponowne dostanie się Wołynia i Ziemi Czerwieńskiej pod rządę sowieckie, 2) ustanowienie pseudo-niepodległej, bierutowskiej (czy też bierutowsko-mikołajczykowskiej) Polski, w której znalazły się także Przemyśl i Sanok, lecz która nie objęła ziem poza t. zw. linią Curzona, 3) wysiedlenie ludności polskiej

spozo linii Curzona, oraz ludności ruskiej spod Przemyśla, Sanoka, oraz z Łemkowszczyzny, 4) skasowanie cerkwi unickiej w Ziemi Czerwieńskiej, oraz 5) wybuch nowej, zbrojnej ruchawki ukraińskiej, zwróconej przeciwko Polakom, czy też polsko-ukraińskiej vendetty, na zachód od linii Curzona, — głównie pod Sanokiem.

Lata te są okresem wielkiej, politycznej klęski polskiej; polskość Ziemi Czerwieńskiej wyciępiona została prawie do reszty. Nie znaczy to jednak, by polskie klęski poszły w parze z sukcesami ukraińskiego obozu.

Ukraińcy w Ziemi Czerwieńskiej i na Wołyniu czują się przez fakt włączenia ich do Ukrainy Sowieckiej politycznie zdruzgotani. Wielkie rzesze ukraińców uciekły z tych ziem do Europy Zachodniej jeszcze w czasie odwrotu wojsk niemieckich. Represje, jakie spadają na społeczeństwo ukraińskie pod rządami sowieckimi, mają w Niemalym stopniu cechy polityki wyniszczenia.

W tych warunkach, w szerokich masach po ukraińsku usposobionego odłamu Rusinów w Ziemi Czerwieńskiej (a tymbardziej wśród starorusinów), panuje wielkie przygnębienie i poczucie doznanej klęski. Z pewnością wzrasta dziś w Ziemi Czerwieńskiej, a także i na Wołyniu, liczba Rusinów, którzy wspominają z żalem czasy polskie, którzy zarówno po okresie barbarzyńskich rzezi czasu wojny, jak w wyniku obecnych rządów sowieckich czują się zdegrustowani do tego wszystkiego, co ich wiąże z europejskim wschodem, i którzy odkrywają w sobie tęsknotę za związkami ze światem zachodnim i za zasadami zachodniej cywilizacji. Jestem głęboko przekonany, że gdyby dziś zrobić w Ziemi Czerwieńskiej plebiscyt wśród Rusinów, to jeśli by chodziło o wybór między (prawdziwą, a nie bierutowską) Polską, a sowiecką Ukrainą, Polska uzyskałaby tam drugoznaczającą większość, a gdyby chodziło o wybór między Polską, a Ukrainą Naddnieprzańską, nawet nie sowiecką, Polska uzyskałaby niespodziewanie dużą ilość głosów.

Można przyjąć jako pewnik, że Rusini w Ziemi Czerwieńskiej sympatiami swoimi i uczuciami dzielą się dziś coraz bardziej na dwa obozy. Obok obozu tych, którzy organizowali rzezie Polaków, oraz wysługiwali się na każdym kroku Hitlerowi i t.d., wyrasta tam coraz liczniejszy obóz tych, — zarówno starorusinów, jak i ukraińców — którzy obcy są walce o Wielką Ukrainę, lub są tą walką zmęczeni i do niej zrażeni i którzy, przerażeni spustoszeniami moralnymi we własnym społeczeństwie pragną przede wszystkim powrotu warunków do odrodzenia się normalnego i cywilizowanego życia swego ludu. Obóz ten, z natury rzeczy, składa się przede wszystkim z tych, którzy nie przestali być chrześcijanami i katolikami i trwają w wierności Cerkwi Unickiej.

Po burzy, która przez nasze ziemie południowo-wschodnie przeszła, polskość na tych ziemiach leży prawie w gruzach. Równocześnie jednak załamały się tam i rozwały niejedne nadzieje tych, co stali we wrogich Polsce szeregach. Na powszechnej pustyni, jaka się tam wytworzyła, nie brak tam jest dla Polski rozmaitych możliwości i perspektyw, — całkiem nowych i niespodziewanych.

6

Po tej, nieco przydługiej analizie stosunków i procesów przemian na naszych ziemiach wschodnich w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, przystąpić możemy do wyciągnięcia wniosków, dotyczących teraźniejszości i przyszłości.

Zacząć musimy od omówienia kwestii granic.

Czy możemy się pogodzić z "linią Curzona"? Czy możemy zrezygnować na

przyszłość z posiadania Ziemi Wschodnich?

Odpowiedź na to brzmi w sposób stanowczy: *non possumus*.

Nie możemy przekreślić blisko siedmiu wieków historii. Unia z Litwą oraz pokojowa nasza ekspansja ku Rusi Czerwonej przetrwała nas, jako naród. W wyniku tej ekspansji staliśmy się czymś innym, niż byliśmy za czasów piastowskich, — nawrót do czasów Polski piastowskiej jest dla nas równie niemożliwy, jak dla Anglii niemożliwy jest nawrót do czasów sprzed najazdu normandzkiego. Jeśli chcemy nadal być sobą — musimy zachować w ramach naszego życia narodowego, a więc i w granicach naszego państwa, pierwiastki litewsko-białoruskie i ruskie.

Nie możemy wyrzec się geograficznego oparcia o łuk Karpat. Prosty rzut oka na mapę uczy nas, że bez mocnego, terytorialnego związku z basenem naddunajskim, bez wspólnej granicy z Rumunią, wisimy geograficznie w próżni; tak ukształtowani terytorialnie możemy istnieć, jako wasal Rosji, ale nie możemy być państwem suwerennym. Nie bez przyczyny Ziemia Czerwieńska była przedmiotem ekspansji polskiej już za pierwszych Piastów i wchodziła w skład Polski za Mieszka I, Bolesława Chrobrego i Bolesława Śmiałego, a stanowiła raz po raz polską sferę wpływów nawet i za czasów Polski w podziałach; posiadanie Ziemi Czerwieńskiej jest dla Polski geograficzną koniecznością. A w dzisiejszych czasach, gdy Polesie, Litwa i Białoruś nie są jak za pierwszych Piastów głuchą i niemal bezpańską puszcza, nie jest rzeczą możliwą posiadanie przez nas Ziemi Czerwieńskiej bez posiadania również i ziem, leżących od niej na północ, to znaczy Wołynia, Polesia i t.d.

Nie możemy zrezygnować z jedynej sposobności do stania się większym liczebnie narodem, niż jesteśmy, jaką jest wprowadzenie w obręb naszego życia narodowego milionowych rzesz ludności kresowej; a jesteśmy, jak na położenie geograficzne w jakim się znajdujemy, narodem liczebnie zbyt słabym.

Nie możemy wreszcie rzec się odpowiedzialności za losy i przyszłość nie tylko tych milionowych rzesz ludności katolicko-polskiej, które się dziś z naszych ziem wschodnich wysiedla, ale i tych milionowych rzesz ludności pochodzenia ruskiego i białoruskiego, które zawsze były nam wierne, ufają nam, liczą na nas i które dotąd na ziemiach wschodnich żyją.

Ułożyliśmy w latach 1920-1921 nasze spory terytorialne z Rosją w drodze tego kompromisu, jakim był Traktat Ryski. Kompromis ten został przez Rosję pogwałcony. Nie nastąpił jednak żaden fakt, który by to pogwałcenie naszych traktatowych uprawnień uczynił aktem legalnym; faktem takim nie jest ani pseudo-plebiscyt z roku 1939, ani kapitulacja przez nikogo nieupoważnionego p. Mikołajczyka, już nie mówiąc o p. Bierucie. Legalnie, pomimo wszystkich wydarzeń, które nastąpiły w latach 1939-1946, a które mają nie więcej znaczenia, niż umowa monachijska z roku 1938, która okroiła Czechosłowację, wciąż istniejącą granicą między Polską i Rosją jest granica Traktatu Ryskiego. Jest ona naszym uprawnieniem zarówno w stosunku do Rosji, jak i z tytułu istniejących zobowiązań, w stosunku do naszych aliantów. Natomiast nie jest już ona w tym stopniu, jak dotąd, naszym zobowiązaniem.

JĘDRZEJ GIERTYCH.

Od Redakcji:

Na tym kończy się ta część artykułu, którą na naszych łamach drukujemy.

Część końcowa, w której autor proponuje szereg wniosków praktycznych, ukaże się bądź w oddzielnej broszurze, bądź jako osobny artykuł w okresie późniejszym.

WKŁAD WOJSKOWY

Stronnictwa Narodowego w Kraju

1939 – 1944

ZANIM ktoś zechce podjąć trud wiernego, choćby fragmentarycznego naszkicowania tragicznej odysei zrywu i walki narodu polskiego z okrutnym okupantem niemieckim, zacząć musi od podmalowania tła stosunków i stanu umysłów, panujących wśród społeczeństwa polskiego przed klęską wrześniową roku 1939.

Choć wojna 1939 roku wybuchła w niesłychanie niekorzystnym dla Polski układzie sił w Europie, nie możemy zapominać, że tym bardziej w takim układzie sił należało być o wiele lepiej i wszechstronniej do wojny się przygotować zarówno na gruncie międzynarodowym, jak i wewnętrznym.

Konsekwencje polityczne stosunków przedwojennych wyraziły się przede wszystkim w stworzeniu obcej duchowi narodu polskiego swoistej dyktatury, odsuwającej patriotyczny ogół społeczeństwa i ośrodki niezależnej myśli polskiej od wpływu na bieg spraw państwowych. 35-cio milionowy naród rządzony był przez zespół ludzi, którzy uważali się conajmniej za jedynych zbawców Ojczyzny. Przedwojenny system rządów zamiast dążyć do zmobilizowania wszystkich sił społeczeństwa polskiego — hamował je i tępił metodami, które społeczeństwo odrzucało.

Konsekwencje natury wojskowej do początku tragicznych doświadczeń r. 1939 były dla narodu mniej dostrzegalne, ponieważ społeczeństwo chciało widzieć w wojsku symbol swej niezawisłości, otaczało wojsko prawdziwą miłością i wierzyło, że armia jest istotnie nierozdzielalną częścią narodu, że wreszcie jest to jedyna może w tym systemie dziedzina zdrowa, na której można polegać.

Istotnie wojsko nasze w 1939 r., jeżeli nie zdało całkowicie egzaminu w warunkach miażdżącej przewagi wręga, to jednak do tych poświęceń było gotowe i dało temu niejednokrotnie wyraz w niezwykle ciężkich walkach od Morza Bałtyckiego do granicy słowackiej swoją zaciętością, bitnością i poczuciem honoru. Przyczyny klęski leżą w innej płaszczyźnie. Spośród ogólnie znanych cytujemy niektóre z nich, a mianowicie: a) brak planu kampanii i koncepcji wojny, b) spóźnioną mobilizację, a zatem koncentrację armii, c) brak lotnictwa, broni panc. i jednostek szybkich, d) fatalny stan i złe funkcjonowanie zaopatrzenia armii i in. Winę tych braków, które można było usunąć, ponosi system pomajowy i jego góra wojskowa, która niepodzielnie sprawowała władzę w Polsce od maja 1926 r. do września 1939 r.

Nie czas dziś na bardziej wnikliwą analizę wszystkich ówczesnych zjawisk naszego życia. Zajmie się tym historia. Nie podobna jednak zrozumieć tego, co się w Polsce działo po wrześniu bez choćby tak ogólnikowego przypomnienia atmosfery, jaka wówczas panowała i była tłem do drugiego aktu tragedii narodu. Rozpoczęła się ona w momencie okupacji kraju przez zbirów hitlerowskich i zapoczątkowała nicwolę, która dotąd jest naszym udziałem.

W pierwszej chwili po klęsce wrześniowej naród został jakby ogłuszony ciosem,

zdrewniał, zamknął się w sobie, a po wydobyciu się z ciężkiej depresji przystąpił do analizowania nowej sytuacji i szukania sprawców niedoli.

I. JAK POWSTAŁA N.O.W.?

Okres oszołomienia, wywołany niespodziewaną klęską, szybko minął i społeczeństwo rozpoczęło spontaniczne i samorzutne organizowanie się w zespolone wojskowe pod hasłem walki z okupantem, oraz uzdrowienia życia społeczno-politycznego kraju. Do połowy 1942 r. jedną z najliczniejszych oraz najbardziej zespolonych i zcementowanych organizacji wojskowych na terenie kraju była Narodowa Organizacja Wojskowa (N.O.W.), powstała z inicjatywy Stronnictwa Narodowego zaraz po klęsce 1939 roku. Siłą swoją i promieniowaniem na szerokie sfery społeczeństwa zawdzięczała potężnej ideologii narodowej, która ją ożywiła i która była fundamentem niezachwianej i nieustępliwej postawy kraju. Ideologii narodowej zawdzięczamy zorganizowanie społeczeństwa do walki z okupantem. Ta postawa nieubłaganej walki o nasze prawo do swobodnego życia wpływała z zasadniczych wytycznych polityki polskiej ustalonej przez Dmowskiego, które w roku 1939 zostały przyjęte przez cały naród.

Naczelną dewizą N.O.W. w walce podziemnej była "wierna i bezinteresowna służba narodowi" w jak najbardziej pozytywnym i niesparodiowanym tego słowa znaczeniu. Dowodów tych złożyli żołnierze N.O.W. od początku okupacji do Powstania włącznie aż nadto wiele.

Poza tym poczucie narodowe w masach ludowych w czasie okupacji znacznie wzrosło; masy poczuły się odpowiedzialne za losy kraju, co znów nie pozostało bez wpływu na kształtowanie się oblicza ideowego twórczących się organizacji wojskowych.

N.O.W. pokryła swą siecią cały kraj już w pierwszej połowie 1940 r. i w szeregach jej znaleźli się przedstawiciele wszystkich warstw społeczeństwa.

W tym samym czasie rozpoczęły żywot i inne organizacje, m. in. Bachy (Bataliony Chłopskie), milicja P.P.S., Z.O.R., "Pług i Miecz" i Z.W.Z. Ograniczam się tylko do podania organizacji najliczniejszych.

Z.W.Z. teoretycznie ograniczał się do działalności tylko wojskowej, a jednak w szeroko rozwiniętej działalności politycznej był nadal kontynuatorem znanych metod przedwojennych w stosunku do społeczeństwa narodowego. Komenda Główna Z.W.Z. i kierownicze stanowiska na niższych szczeblach obsadzone były prawie wyłącznie przez ludzi obozu pomajowego. Ten stan rzeczy utrzymał się i po przemianowaniu Z.W.Z. na P.Z.P., a wreszcie na Armię Krajową.

Na tym tle były częste targi, przetargi i zatargi ze wszystkimi słabszymi lub silniejszymi organizacjami, zcalającymi się z A.K., które chciały mieć swoich przedstawicieli w Komendzie Głównej A.K. Armia ta była w przynajmniej większości narodowa.

Siły zbrojne N.O.W. w połowie 1942 roku

liczyły ponad 100.000 ludzi dobrze wyszkolonych, jak mówi gen. Bór w sprawozdaniu swoim za czas od 1 sierpnia 1943 do 1 lutego 1944, i posiadały pewne zapasy broni i amunicji, choć do grudnia 1942 roku nie otrzymały na swe potrzeby organizacyjne, personalne, zaopatrzeniowe ani jednego dolara ze skarbu Państwa Polskiego czy państw sojuszników. Korpus oficerski N.O.W. liczył ok. 1.200 oficerów, w tym 250 oficerów zawodowych, resztę stanowili oficerowie rezerwy.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę ciężkie warunki wegetacyjne w kraju po roku 1939, pauperyzację społeczeństwa i walkę z okupantem, fakt ten świadczy o wielkim poczuciu narodowym, dużej moralności i poświęceniu dla sprawy.

Oficjalna polityka ówczesnego rządu londyńskiego szła jednak innymi torami i, jak zwykle u nas bywa, starała się narzucić krajowi własne rozwiązania, które społeczeństwo zmuszone było tolerować, nie mając możliwości w warunkach konspiracyjnych zabierania głosu w swoich żywotnych sprawach, by nie narazić się na zarzut rozbijania jednolitego frontu.

Zarząd Główny Stronnictwa Narodowego w kraju i Komendant Główny N.O.W. od początku zdawali sobie najdokładniej sprawę z odpowiedzialności, jaka ciąży na nich wobec własnego narodu i historii w dziedzinie zcalenia wysiłku zbrojnego w jedno ognisko, po zorganizowaniu więc i wyszkoleniu swej armii w maju 1942 r., z własnej inicjatywy, rozpoczęli rozmowy z dowódcą P.Z.P. o włączenie N.O.W. w szeregi "oficjalnej armii w kraju", co znalazło swój wyraz we wspólnym protokole umowy i uroczystej przysiędze żołnierskiej, złożonej przez Komendanta N.O.W. 4 listopada 1942 roku.

Myślą przewodnią kierowników P.Z.P. po włączeniu N.O.W. było przejęcie jej szeregów żołnierskich z tym, że dowódcą wszystkich szczebli N.O.W. dano by stanowiska drugorzędne.

Narodowa Organizacja Wojskowa rozprządzała dużą siłą liczebną z dominującymi wpływami w społeczeństwie. Z drugiej strony znany był dobrze jednostronny politycznie charakter dowództwa P.Z.P. złożonego, jak wyżej już podkreśliłem, niemal wyłącznie z ludzi obozu pomajowego. Mimo to kierownictwo N.O.W. zdecydowało się na fuzję obu grup, z czego wyrosła później Armia Krajowa. Przyczyn tej decyzji szukać należy:

- 1) w założeniach i zrębach ideologii narodowej oraz dążeniach do Wielkiej Polski drogą wysiłku całego narodu bez względu na chwilowy związek z tą lub inną grupą; wierzyliśmy, że armia powinna być apartyjna;
- 2) w ówczesnej strukturze społeczno-politycznej kraju i odpowiedzialności poważnych grupowań za losy kraju;
- 3) w fakcie uznania przez cały kraj, za wyjątkiem komunistów, rządu londyńskiego oraz gen. Sikorskiego jako naczelnego wodza;

4) w fakcie okupacji kraju przez odwiecznego wroga niszczącego biologicznie wszystkie warstwy narodu, — oraz wypływającego stąd logicznego wniosku konsolidacji i zestrzelenia wszystkich wysiłków dla wspólnej walki.

W kraju wrzała krwawa walka z okupantem, w której padały dziesiątki tysięcy Polaków. Walka musiała być zorganizowana i ktoś musiał dzierżyć kierownictwo w swym ręku.

Obóz narodowy, zgrupowany wokół i pod przewodnictwem Stronnictwa Narodowego, w ciężkiej i przełomowej dla narodu polskiego chwili historycznej nie mógł stawiać swoich celów jako przedmiotu ewentualnej rozgrywki międzypartyjnej. Dmowski nakazywał nam poświęcać interesy partyjne na rzecz sprawy ogólnej.

N.O.W. od początku t.j. od połowy roku 1940 stała na stanowisku powszechności służby i wysiłku dla narodu. Nie rozumowaliśmy tak jak Mikołajczyk, który po śmierci gen. Sikorskiego depeszą do P.S.L. w kraju nakazał wycofanie Batalionów Chłopskich z A.K. na wypadek nieobjęcia przez niego kierownictwa rządu. N.O.W., jako jedna z najliczniejszych organizacji w kraju głosiła hasło, że armia polska może być tylko jedna i jednolicie dowodzona i że wówczas tylko będzie mogła sprostać bardzo ciężkim zadaniom, jakie stoją przed narodem.

To był tenor rozumowania żołnierzy N.O.W. Na tle decyzji Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego i komendanta głównego N.O.W. doszło w połowie 1942 roku do secesji. Niektóre oddziały N.O.W. nie podporządkowały się decyzji połączeniowej i pod dowództwem zastępcy komendanta głównego N.O.W. związały się z O.N.R. (A.B.C.) W ten sposób powstały Narodowe Siły Zbrojne, które przez dwa lata trwały i walczyły samodzielnie. W marcu 1944 roku secesja powróciła do Stronnictwa, a większość oddziałów N.S.Z. (odpryski z N.O.W. z roku 1942) podporządkowała się Armii Krajowej i dzieliła odtąd jej losy. Stany bojowe N.S.Z., które weszły do A.K., wynosiły 74 tysiące żołnierzy. Część zaś N.S.Z. pozostająca pod wpływami O.N.R. pozostała na boku i działała bez związku ze Stronnictwem.

N.O.W. weszła w skład A.K., wprowadzając armię 75-cio tysięczną skrupulatnie przeliczoną na wszystkich szczeblach A.K. W liczbie tej nie figurowały oddziały kobiece N.O.W., które były bardzo liczne, poza tymi zaś N.O.W. aż do samego powstania warszawskiego przeprowadzała rekrutację żołnierzy celem uzupełnienia niektórych oddziałów do pełnych stanów etatowych oraz do pokrycia strat bojowych. Cyfry uzupełnień nie mieszczą się w stanach 75 tysięcy.

II. WALKI Z OKUPANTEM

W okresie konspiracji bohaterska i pełna poświęceń walka oddziałów N.O.W. — samodzielna lub w ramach A.K. — przejawiała się w najrozmaitszych formach szarpiąc wroga drogą zamachów na jego funkcjonariuszy, urzędy i placówki, czy też odbijania więźniów, oraz stacząc przy pomocy swych oddziałów leśnych nekające wroga bitwy. Ponieważ N.O.W., niestety, nie korzystała z przydziałów broni zrzutowej, zjawiskiem

DRUGI KORPUS

Pierwsze oddziały wojsk gen. Andersa, jak donosimy na innym miejscu, wylądowały już w Wielkiej Brytanii. Rozumiemy dobrze głęboki zawód i gorycz, jaka w tej chwili gryzie żołnierzy II Korpusu. Zamiast zwycięskiego marszu do Polski, po walkach, które rozslawiły imię oręża polskiego po całym świecie, żołnierze II Korpusu przyjeżdżają do Anglii na nową tułaczkę, na nowe próby w Korpusie Przystosobienia.

Nie taka im się przyszłość marzyła, kiedy zdobywali Monte Cassino i Bolonię, nie o tym snili polegli towarzysze broni.

Z żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych zależnych od prawowitych władz Rzeczypospolitej stają się tułaczami, którymi rzucac będzie, jak piaskiem na pustyni, wicher dziejowy.

Witając serdecznie naszych kolegów z II Korpusu na ziemi brytyjskiej nie potrzebujemy ich podnosić na duchu, gdyż postawę mają świętą i niejedno już w życiu widzieli. Zapewnić ich tylko chcemy, że dzieląc dziś razem z nimi trudy wygnania pójdziemy razem do walki o istotnie niezależną Polskę i nie spoczniemy, dopóki celu wspólnego nie osiągniemy.

Los nam nie szczydził goryczy. Bywaliśmy pod wozem i na wozie, ale zawsze naród polski umiał w ostatniej potrzebie wydobyć się z opresji i żyć w wolnej od wroga Ojczyźnie.

Wierzmy, że i obecnie dojdziemy własnym wysiłkiem i walką do odbudowania niepodległego Państwa Polskiego.

nagminnym były napady na posterunki policji niemieckiej. Było to jedno z najważniejszych źródeł zaopatrywania się w broń i amunicję. Do grudnia 1942 N.O.W. nie korzystała z żadnych zasileków pieniężnych, a i po tym terminie przydziały były tak minimalne, że na okręg wojskowy, złożony z 28 powiatów, otrzymywano kredyt miesięczny, za który można było nabyć... aż dwa pistolety Visy.

Nie z tytułu zawiści, lecz dla charakterystyki stosunków warto zanotować jeszcze jeden fakt, a mianowicie, że przez cały czas konspiracji aż do Powstania ani jeden żołnierz N.O.W. nie otrzymał odznaczenia bojowego, podczas gdy w Z.W.Z. odznaczenia w tym czasie były bardzo częste. Również i awanse dla członków N.O.W. były traktowane bardzo specjalnie. Awansowano 13% stanu oficerów; w 99% awanse te dotyczyły stopni młodszych. Awanse oficerów sztabowych widocznie z zasadniczych względów nie wchodziły u dowództwa P.Z.P. czy A.K. w rachubę. Przed wybuchem powstania nie można było spotkać oficera wywodzącego się z Z.W.Z., który nie byłby awansowany, a w bardzo wielu wypadkach awansowani oni byli po dwa czy nawet trzy razy.

W historii walk N.O.W. z okupantem były momenty naprawdę godne podkreślenia, jak np. w listopadzie 1940 roku, kiedy "wpada" drukarnia tygodnika "Walka". Ginie wówczas śp. Ryszard Szczęsny i cały personel drukarni, broniący się granatami ręcznymi przed atakującym dom Gestapo.

W roku 1942 na Zamku lubelskim giną w straszliwych męczarniach stopniowo przypiekani rozżarzonym żelazem trzej oficerowie N.O.W. schwytani in flagranti — za to, że nie chcieli zdradzić nazwisk i pseudonimów swoich dowódców.

Pod Janowcem Lubelskim oddział N.O.W. w walce z kompanią S.S.; pada dziewiętnastu żołnierzy.

W C.O.P. -ie zwycięskie walki z Niemcami stacza oddział leśny N.O.W. "Ojca Jana". Można by przytoczyć wiele, wiele innych podobnych przykładów.

Walki oddziałów N.O.W. w ramach A.K. w czasie Powstania były wyjątkowo ofiarne. Świadczą o tym straty, wynoszące średnio około 80% stanów.

W śródmieściu walczyła m. in. grupa N.O.W. dowodzona przez por. Harnasia, która dokonała pięknych wyczynów bojowych, lecz jeszcze przed końcem powstania przestała istnieć z powodu strat bojowych; prawie wszyscy z porucznikiem Harnasiem na czele polegli lub zostali ranni.

Identyczny los spotkał inną grupę N.O.W., walczącą na ul. Wolskiej w ramach zgrupowania rotm. Alika (zabity). Nikle resztki tej grupy były się na Starówce. Również i z trzeciej grupy N.O.W., walczącej na Starówce pod dowództwem por. Juliusza (zabity), pozostały tylko pojedyncze osoby.

Listę strat w tej chwili trudno jest odtworzyć; przytoczymy tylko z pamięci kilka nazwisk dowódców i kierowników na różnych szczeblach, poległych przed Powstaniem: Szef Duszpasterstwa Komendy Głównej śp. ks. Mirochna; szefowie oddziałów organizacyjnych Komendy Głównej: śp. "Bronisław", śp. por. Stefan Klimecki; szef oddziału II, śp. por. Najmrodzki; trzech szefów propagandy: śp. red. Stanisław Piasecki, śp. red. Jan Bajkowski i śp. redaktor Andrzej Mikułowski; śp. por. Ryszard Szczęsny, śp. ppor. Tadeusz Łukasiewicz, śp. ppor. Raczek, śp. ppor. Wysocki.

Giną komendanci okręgów N.O.W. białostockiego, podlaskiego, lwowskiego, poznańskiego (śp. por. Kwiatkowski), częstochowskiego (śp. por. adw. Lisiewicz), szef wydz. organizacyjnego okręgu lubelskiego (ppor. Henryk Wesolowski), oraz oficerowie: śp. ppor. Mundeck Gliński, śp. por. Stanisław Froehlich, śp. ppor. Lipski, śp. ppor. Skretuski i tsiące bohaterów, których nazwisk w tej chwili podać nie możemy.

Dorobek wojskowy Stronnictwa Narodowego czeka jeszcze na swojego historyka. W związłym szkicu niniejszym chodziło nam jedynie o zanotowanie bardzo pobieżne wysiłków Stronnictwa w zakresie wojskowym czasu wojny i podanie kilku zaledwie przykładów walk, stoczonych przez N.O.W.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę armię N.O.W., liczącą przeszło 75 tysięcy, i armię N.S.Z. o tej samej liczebności to w świetle tych cyfr przeraźny wkład obozu narodowego w stworzenie i działania Armii Krajowej okaże się istotnie imponujący.

GLOSSATOR

KONIEC POCZDAMU ?

ODBYWAJĄCA się obecnie w Paryżu konferencja czterech ministrów spraw zagranicznych ma swój rodowód w uchwałach poczdamskich z 2 sierpnia 1945 r. Decyzje poczdamskie powołały radę pięciu ministrów spraw zagranicznych (piątym uczestnikiem są Chiny, nie biorące udziału w naradach nad sprawami Europy), poruczając jej przygotowanie projektów traktatów pokojowych z państwami, które wojowały po stronie Niemiec, oraz zaprojektowanie ułożenia najważniejszych kwestii terytorialnych w związku z zakończeniem wojny w Europie. Rada miała się zająć również przygotowaniem układu pokojowego z Niemcami, który, po utworzeniu rządu niemieckiego, miałby mu być przedstawiony do przyjęcia.

Okoliczności się tak składają, że rada, utworzona w Poczdamie, może się przyczynić do ostatecznego pogrzebania decyzji w sprawie Niemiec, tam powziętych. Decyzje te przewidywały polityczną decentralizację Niemiec, przywrócenie samorządu oraz oparcie systemu administracyjnego na czynniku wyborczym i reprezentacyjnym. Odkładając na razie powołanie rządu centralnego, stanowią one jednak, że powołane zostaną do życia niektóre działy administracji centralnej, zwłaszcza w dziedzinie finansów, transportu, komunikacji, handlu zagranicznego i przemysłu.

Decyzje poczdamskie wychodzą z założenia jedności państwowej Niemiec, starając się je przekształcić w duchu zasad liberalnych i demokratycznych.

W dziedzinie gospodarczej decyzje te przewidywały rozbięcie monopolistycznych ośrodków dyspozycji, rozrosłych nadmiernie w przedwojennej i wojennej gospodarce niemieckiej, i decentralizację tej gospodarki. Niemcy miały się stać krajem głównie rolniczym i krajem pokojowych przemysłów domowych (primary emphasis shall be given to the development of agriculture and peaceful domestic industries). W okresie jednak okupacji miały być traktowane jako jedność gospodarcza (single economic unit). Kontrola sprzymierzonych miała przestrzegać sprawiedliwego podziału podstawowych towarów między strefy okupacyjne i równowagi w systemie gospodarki niemieckiej w celu możliwego ograniczenia przywozu z zagranicy.

W dziedzinie reparacji uchwały stanowią, że każde państwo okupujące zaspokaja swe pretensje reparacyjne z własnej strefy okupacyjnej, ZSRR przyznano jednak dodatkowy udział w 25% reparacji z Niemiec zachodnich, w tym 15% w zamian za dostarczone ze strefy rosyjskiej produkty rolnicze i przemysłowe.

Te wszystkie postanowienia zostały poważnie tylko na papierze. Konferencja poczdamska obradowała w okresie, gdy myślano nie tylko o jedności politycznej i gospodarczej Niemiec, lecz również o jedności Europy. Przez Europę przeszła jednak linia podziału od Szczecina do północnej granicy Grecji, oparta w środku na Łabie. Linia ta podzieliła Niemcy na dwie części, z których wschodnia, odosobniona politycznie i gospodarczo, staje się stopniowo, na równi z państwami Europy środkowej i środkowo-wschodniej, obszarem faktycznej anksji sowieckiej.

ZSRR nie wykonał postanowień poczdamskich o międzystrefowej wymianie towarów,

przez co przyczynił się do wzmocnienia w zachodnich okupacjach trudności gospodarczych, związanych z klęską głodu. Odpowiedzia ze strony Stanów Zjednoczonych było wstrzymanie remontowania zakładów przemysłowych niemieckich, przeznaczonych dla ZSRR z tytułu jego 25% udziału w reparacjach. Zasady Poczdamu wzruszono obustronnie.

Dalszy atak na uchwały poczdamskie wyjdzie, jak można przypuszczać, ze strony anglosaskiej. P. Bevin, popierany przez p. Bynesa, ma zamiar przedstawić konferencji paryskiej swój plan przekształcenia Niemiec w federację 12 państw, przystających w szerokiej mierze z niezawisłości politycznej, z zagłębieniem Ruhry, pozostającym pod kontrolą międzynarodową. Uchwały poczdamskie przewidywały jedynie decentralizację administracji niemieckiej, oparcie jej na szerokich podstawach samorządowych. W razie nieuzyskania zgody ZSRR na swój projekt, Bevin ma zamiar, według doniesień prasy, dążyć do realizacji planu federacyjnego w okupacjach zachodnich. Byłby to koniec jedności politycznej i gospodarczej Niemiec, planowanej przez konferencję poczdamską.

Wydaje się, że mocarstwa zachodnie patrzą niechętnym okiem na uchwały poczdamskie. Przyczyną tego są nie tylko dotychczasowe trudności w ich realizacji, lecz również ich gospodarcza nieżyjliwość w stosunku do Niemiec. Przekształcenie Niemiec na kraj przeważająco rolniczy i rękodzielniczy oznaczałoby całkowitą pauperyzację 68-milionowej ludności niemieckiej, stwarzając Niemcy, będące ciężarem dla Europy, i stając się źródłem stałego narastania fermentów. Europe potrzebny jest przemysł niemiecki, byleby, nie nastawiony na stopę wojenną, mocarstwom zaś anglosaskim, na równi z rynkami Europy południowej i środkowo-wschodniej, rynek niemiecki.

W tym stanie rzeczy p. Molotow, według doniesień prasy angielskiej, ma, dość nieoczekiwanie, bronić na konferencji paryskiej planu poczdamskiego i domagać się jego potwierdzenia przez aliantów, ofiarując w zamian znaczne złagodzenie odosobnienia gospodarczego rosyjskiej strefy okupacyjnej. Pierwszą oznaką tego zwrotu w polityce rosyjskiej miałyby być dokonana niedawno zmiana na stanowisku przedstawiciela ZSRR w Radzie Kontrolnej Niemiec.

Niewiadomo, czy wiadomości te są prawdziwe. Jeżeli tak, świadczyłyby one o dość znamienym zwrocie w polityce rosyjskiej. Ostateczne załatwienie sprawy Niemiec zachodnich bez współudziału Rosji pozbawiłoby ją uczestnictwa w umiędzynarodowionym przemysle Ruhry oraz spowodowałoby utratę wartościowych reparacji z uprzemysłowionych zachodnich stref okupacyjnych. To jednak nie może mieć decydującego znaczenia. Wydaje się, że główną przyczyną mogą być trudności w okupacji rosyjskiej. Przy całym swym imperializmie Związek Sowiecki, w przeciwstawieniu do W. Brytanii, nie potrafi utrzymać przy sobie podbitych narodów. Jego metody polityczne działają odrodkowo; narzucanie przemocą światopoglądu komunistycznego wywołuje nienawiść do tego światopoglądu; nic bez znaczenia jest różnica

w poziomach kultury materialnej. Dokonane niedawno przymusowe połączenie socjalistów niemieckich w rosyjskiej okupacji z komunistami okazało się podobno posunięciem nieudanym politycznie. Związek Sowiecki widocznie nie sądzi, aby zorganizowanemu choćby w związek federacyjny państwu niemieckiemu na zachodzie mógł przeciwstawić skutecznie powierzchownie skomunizowane Niemcy wschodnie. Woli, za cenę zmiany dotychczasowej polityki, a więc za cenę częściowej rezygnacji z już zdobytych pozycji, utrzymać możliwość wywierania wpływu na losy całych Niemiec.

Takie stanowisko rosyjskie mogłoby zaważyć na rozmowach paryskich również w innych sprawach. Jest rzeczą możliwą, że ZSRR zaczyna w swej polityce brać pod uwagę nie tylko możliwości konfliktów dyplomatycznych z mocarstwami zachodu, z których sobie zresztą wiele nie robi, lecz również czynnik wewnętrzny oporu narodów, które chce ujarzmić. Opór ten może na dłuższą metę oddziaływać destrukcyjnie na całą rozległą, lecz prymitywnie pomyślaną, budowę rosyjskiej sfery wpływów.

P. Molotow, broniąc Poczdamu, broniłby jedności Niemiec i — co brzmi dość dziwnie — jedności polityki alianckiej w stosunku do Niemiec. Obrona ta umożliwiłaby mu, przez odwołanie się do układu formalnie obowiązującego, na wysunięcie argumentów formalno-prawnych, którymi się z upodobaniem, choć nie zawsze właściwie posługując; miałby on w ten sposób dogodną pozycję wyjściową.

P. Bevin atakując swym planem federacyjnym układ poczdamski, miałby sytuację trudniejszą. Plan jego, ze stanowiska trwałego rozwiązania sprawy niemieckiej, może nasuwać uwagi krytyczne.

Okresy związków państwowych należą w dziejach Niemiec do przeszłości; współczesny naród niemiecki jest narodem jednolitym i rozbić go na sfederowane państwa byłoby koncepcją sztuczną, bez szans trwałości.

Ze stanowiska polskiego plan Bevina kryje w sobie potencjalne niebezpieczeństwa dla naszej granicy zachodniej.

Mocarstwa anglosaskie nie mają jednak, jak się zdaje, koncepcji, która by, unikając błędów układu poczdamskiego, dawała trwale i dostosowane do współczesnej rzeczywistości politycznej i gospodarczej Europy rozwiązanie zagadnienia Niemiec. W tych warunkach wydaje się wątpliwie, aby rozmowy paryskie w tej sprawie mogły doprowadzić do zdecydowanych konkluzji. Będą one, jak rozmowy w innych sprawach, polem starć dyplomatycznych, na których wyniku zaważy cechująca stronę anglosaską, a zwłaszcza W. Brytanii, dążność do osiągnięcia choćby tymczasowego kompromisu, w obawie katastrofalnych skutków rozdrożenia Europy. Czy jednak ta pojednawczość anglosaska pozwoli na zgalwanizowanie uchwał poczdamskich za cenę możliwych ustępstw taktycznych ze strony sowieckiej, przewidzieć trudno.

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

AKTUALNOŚĆ DŁUGOSZA

HABENT sua fata libelli : dopiero w tym roku dotarła do Londynu dwutomowa książka Ignacego Chrzanowskiego, wydana późną jesienią tragicznego roku trzydziestego dziewiątego, już po zaczętej wojnie, a jeszcze przed aresztowaniem i wywiezieniem autora do Oranienburga¹). Jakże się dobrze stało, że autor, bez dalszej zwłoki, zdołał wtedy puścić w świat od dawna przygotowane te dwa tomy, których by już trochę później nie pozwolono mu wydać.

Powiedzmy od razu, że te dwa tomy, ostatnie dwa jakie wyszły spod ręki autora, są zadziwiająco dziś żywe. Zawierają one zbiór luźno wydanych szkiców i studiów, a też, i to najważniejsze, niektóre z niewydanych nigdy wykładów uniwersyteckich. Jest to więc jakby rzut w ostatnie miesiące życia długich lat pracy autora, tak pisarskiej jak i nauczycielskiej. Niezapomniane pióro Chrzanowskiego sprzęgło się tu z tak nam żywo w uszach dźwięczącym rytmem i nerwem jego głosu. Dlatego pewno jest ta książka tak żywa.

Ale też i ze względu na ważkość i świeżość treści przemawiającej w najwłaściwszej dla autora formie krótkiego *essay'u*. Obejmują te dwa tomy prawie cały ciąg piśmiennictwa polskiego od średniowiecza (*Charakter encyklopedyczny kroniki Kadłubka ; Dwie logiki i dwie etyki : Z powodu 300-letniej śmierci Pawła Włodkowicza ; Jan Długosz*), poprzez *Wiek Złoty* (Skarga), *Oświecenie* (*Poezja stanisławowska ; Echa starożytnie w pieśni Książczyna i w sielance Karpińskiego ; Niemcewicz, jako miłośnik i obrońca mowy ojczystej ; Konserwatyzm Jana Śniadeckiego*), *Romantyzm* (Lelewel, Woronicz, mesjanizm, poezja romantyczna) aż do poromantycznych czasów i prądów po lata ostatnie (Kraszewski, Sienkiewicz i Prus, Reymont ; Nehring, Tretiak, Tarnowski i Brueckner ; W. Feldman i Zygmunt Wasilewski²).

¹STUDIA I SZKICE, Rozbiory i krytyki t. I. i II. Kraków 1939, z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej. Skład główny w księgarniach Gebethnera i Wolffa. — Książka wyraźnie wyszła po wrześniu, a przed listopadem, w tym niewyraźnym, przejściowym październiku, kiedy to jeszcze wolno było pisać i czytać o Funduszu Kultury, i kiedy jeszcze istniały księgarnie Gebethnera i Wolffa.

²Bardzo znamienne uderza tu brak jakiegokolwiek studium o baroku, gęsto reprezentowanym w poprzednich zbiorach autora.

Treść tego ostatniego dzieła Ignacego Chrzanowskiego podajemy dlatego tak dokładnie, że — o ile wiemy — jeden tylko egzemplarz jest w Londynie, przeznaczony dla biblioteki pół-publicznej, gdzie będzie dostępny dla badaczy i polonistycznej młodzieży. Dobrze więc go tu zasygnalizować, by zainteresowani wiedzieli, co w nim ich zająć może.

Jak z tego przeglądu treści widać, dwa tomy te powstały z jednej strony z recenzji i wspomnień pośmiertnych, a z drugiej — z niewydanych przedtem wykładów uniwersyteckich. Dzięki charakterystycznej dla Chrzanowskiego właściwości, oba te działy nabyły przeważnie wartości *essay'u*, bardziej pobieżnego w wspomnieniach, ale też i żywszego, zaś w wykładach oczywiście bardziej pogłębionego i wyczerpującego.

Lektura tych dwu tomów pogłębia w nas przekonanie, że rękopiśmienna puścizna autora jest bardzo bogata choć do druku nieprzygotowana. Obok części wykończonej *Historii Literatury XIX-go wieku* (gdzieś po lata 1835), znajdują się tam na pewno notatki do wykładów uniwersyteckich niesłychanie sumienne i obejmujące ogrom zagadnień.

Ignacy Chrzanowski waruje nam jeszcze na długie lata niespodzianki. Nasze chude lata powojennej mielizny humanistycznej wypełniać będziemy sięgając do takich właśnie zasobów.

Przechodząc do tematyki, mamy tu wybór bogaty, więc trudny. Znajdujemy tam przede wszystkim rzeczy niezmiernie aktualne.

Za taką aktualność uznamy — najdawniejszy średniowieczny pokład tych studiów ; utwierdzi nas on w organiczności rozwoju polskiej świadomości, i nawet polskiej historii, poprzez jej zwycięstwa i katastrofy. Pod warunkiem oczywiście, iż przyjmujemy za zasadę i pewnik, iż właśnie *świadomość narodowa* wykuwa dzieje narodu.

W swej "próbie charakterystyki człowieka," jak zatytułował autor swą rzecz o Długoszu, zajmuje się on też, i przede wszystkim, charakterystyką głównego jego umiłowania, jakim była miłość Ojczyzny. — ". . . patriotyzm Długosza ogarniał całą Polskę w granicach, w jakich ją sercu jego przekazała przeszłość. Prawda, że raz pisał : "Nad wszystkie ziemie ojczyste za najprzedniejszą jest dla mnie diecezja krakowska ; i niebo w niej łagodniejsze, i ziemia żyźniejsza, i ludzie wykształceńsi, i rozumy większe." "Cóż dziwnego ? — konkluduje Chrzanowski

— każdy przecie ma na ziemi rodzinnej jakiś kącik ulubiony³), ale to nie każdemu przeszkadza do umiłowania całej tej ziemi. Długosz ją umiłował"

I rzeczywiście, mimo żaloby, czarnej żaloby, w jakiej znajduje się dziś każdy godny swego imienia Polak, z powodu czasowej utraty Wilna i Lwowa — nie można bez głębokiego i radosnego wzruszenia czytać *essay'u*, poświęconego przez Chrzanowskiego Długoszowi :

"Nie może Długosz przeboleć odpadnięcia Śląska i, opowiadając pod r. 1322 o utracie Wrocławia, pociesza się nadzieją, że "za łaską Bożą "to miasto, które było "częścią Królestwa Polskiego" "wróci kiedyś i złączy się ze swoją całością, a zrzuci z siebie nieprawne i zdziercze panowanie, skoro Bóg dobrotliwy ulituje się nad narodem polskim, a Polacy godnymi ofiarami zmyją grzechy i występki swoje, dla których Królestwo Polskie takiemu zmniejszeniu uległo."

Pierwszym etapem dla odzyskania tych ziem było dla Długosza triumfalne odebranie Krzyżakom i "przyłączenie Ziemi Pomorskiej, Chełmińskiej i Michałowskiej do Królestwa Polskiego." Rok 1467 zaczyna Długosz od krótkiego rozdziału pod tytułem : "Pisarz tej kroniki cieszy się, że za jego życia Prusy połączyły się z Królestwem Polskim." I pisze tu słowa, których dziś żaden Polak nie może przeczytać bez głębokiego zadumania się nad logiką, tragiczną logiką dziejów, wymagającą od narodów bohaterstwa, długiego wyczekiwania, i — ponad wszystko — świadomości narodowej, która pozwala narodowi na czekanie przez lata, a nieraz i wieki, na powrót tego, co mu się należy. Oto te słowa Długoszowe : "I ja, piszący te *kroniki*, czuję niemałą pociechę z ukończenia wojny pruskiej, z odzyskania krajów, z dawna od Królestwa Polskiego odpadłych, z przyłączenia Prus do Polski ; bolało mnie to bowiem, że Królestwo Polskie szarpały dotąd i rozrywały rozmaite ludy i narody ; teraz szczęśliwym mienię siebie i swoich współczesnych, że oczy nasze oglądają połączenie się krajów ojczystych w jedną całość ; lecz byłbym szczęśliwszym, gdybym doczekał za łaską Bożą odzyskania i zjednoczenia z Polską Śląska, Ziemi Lubuskiej i Słupskiej ; z radością zstępowałbym do grobu i słojszy miałbym w nim odpoczynek."

³Nie dodaje tu Chrzanowski tego, co miał w sercu, pisząc te słowa, a mianowicie, że takim jakimś ukochanym w Polsce kącem był dla niego Podlasie.

Zaiste, trudno się nad tymi wspaniałymi słowami nie zadumać po upływie tych pięciu wieków od ich napisania. Po latach półtysiącu — ileż to pokoleń polskich legło pokotem w grób od tego czasu — marzenie Długosza się ziściło co do Śląska i Ziemi Lubuskiej i Stupskiej. Ale równocześnie trafił i nas i jego cios, skierowany w owo "połączenie się krajów ojczystych w jedną całość: Cóżby bo on powiedział o odłączeniu i Wilna i Lwowa! Wiemy napewno, co by powiedział!:

"Wrócą kiedyś i złączą się ze swoją całością, a zrzucą z siebie nieprawne i zdzierżone panowanie, skoro Bóg dobrotliwy ulituje się nad Narodem Polskim, a Polacy godnymi ofiarą zmyją grzechy i występki swoje, dla których Królestwo Polskie takiemu zmniejszeniu uległo."

Pewni jesteśmy tych słów Długosza, bo cud historyczny świadomości narodowej polega właśnie na tym, iż — w takich sprawach zasadniczych — ręczyć możemy za przeszłe i za przyszłe pokolenia polskie.

Na tym polega — NARÓD.

* * *

Książkę swoją poświęcił Ignacy Chrzanowski autorom "Prac historyczno-literackich," t. zn. młodzieży polonistycznej, która — dzięki hojności Profesora — przez z górą ćwierć wieku, młodymi swymi pismami te Prace wypełniała.

Dedykacja ta zawiera w sobie przedśmiertny przekaz Chrzanowskiego: ostatnie jego słowo poszło do młodzieży.

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI.

PAMIĘTAJ,

że "Myśl Polska" czytają rodacy we wszystkich skupiskach polskich rozsianych po świecie,

że przepisy dewizowe większości krajów nie pozwalają czytelnikom przekazywać prenumeraty,

że wobec tego pokrycie kosztów wydawnictwa maleje.

Jeżeli doceniasz wagę istnienia i rozwoju naszego pisma, zasil Fundusz Wydawniczy "Myśli Polskiej".

Wpłaty należy przesyłać na adres: "Myśl Polska", 24, Wellington Road, London, N.W.8 (z zaznaczeniem: "Fundusz Wydawniczy").

ALEKSANDRA POLESKA

OSTATNIA PRZYSTAŃ CONRADA

OD głównej drogi, prowadzącej z Canterbury do Folkestone w hrabstwie Kent, można dojść szeroką, trochę pochmurną cieniemi starych drzew aleją do miejscowości Bishopsbourne, odległej o 9 km. od Canterbury. W miejscowości tej Józef Conrad Korzeniowski spędził ostatnie pięć lat swego życia w domu pod nazwą "Oswalds", który zajmował wraz ze swą rodziną.

Cottage Conrada leży tuż przy starym kościele. Schowany jest w gęstwinie czerwono-listnych drzew i nie od razu go widać. Jest to duży, jednopiętrowy dom z rozplanowanymi symetrycznie oknami i białym gankiem. Od drogi oddziela go dziedziniec, do którego prowadzi niska, na biało niegdyś pomalowana brama. Od strony frontowej nie widać ogrodu: rośnie tu tylko kilka krzewów różanych o bladych kwiatach, których pędy wiją się po ścianach.

Dom ten nigdy nie był własnością pisarza. Należał do pułkownika Bella w czasie gdy Conrad w nim mieszkał, a w roku 1927 (w trzy lata po śmierci Conrada) nabył go obecny właściciel Sir John Prestige, dyrektor jednej z firm technicznych, zamieszkały w pałacu Bourne Park około Bishopsbourne. W czasie wojny dom zarekwirowany był przez wojsko; obecnie znajduje się w stanie ruiny. Suity przeciekają, schody się wałają, obszerny hall z pięknym, angielskim kominkiem, zarzucony jest śmieciami. Nawet dzwonek od frontowych drzwi został wyrwany. Na dole są kuchnia, spiżarnia i cztery pokoje; jeden z nich nieduży, położony na prawo od wejścia, z paroma półkami wmurowanymi w ściany: to właśnie dawna pracownia Conrada. Na pierwszym piętrze jest 8 pokoi i łazienka staromodnie urządzone, na której umieszczono napis *For Sergeants Only*. Pokoje na mansardzie przeznaczone były prawdopodobnie dla służby. Dom nawet w najlepszych warunkach musiał być nieco wilgotny, bo został tak zbudowany, że promienie słońca z trudem znajdują do niego dostęp.

Kiedy Conrad przeniósł się do Oswalds, był już człowiekiem starym i zmęczonym. W dodatku dawała mu się we znaki złośliwa podagra, której nabawił się w Kongo w roku 1890. Poza tym cierpiał na bezsenność i astmę, a jego stan nerwowy był nieraz tak zły, że całymi tygodniami nie mógł się zabrać do pisania. (Wszystkie najlepsze jego książki z wyjątkiem "Korsarza" były już wtedy napisane). Ale nawet czując się stosunkowo dobrze Conrad rzadko pisał więcej niż 350 słów dziennie. Nic było to wynikiem lenistwa, ale niezwyklej wrażliwości sumienia artystycznego, które wzdrygało się przed wszelką łatwizną. Wstręt do łatwego pisania był też powodem, że Conrad nigdy nie dał się wciągnąć w codzienną pracę dziennikarską, której

nadmian nieraz tak ciążył na twórczości innych pisarzy, jak np. Chestertona. Conrad tworzył powoli i z trudem i rzadko kiedy pomagał sobie dyktowaniem.

Mistrzowskie opanowanie i wycucie języka angielskiego w słowie pisanym nigdy nie przestało zdumiewać jego otoczenia, które na codzień było świadkiem cudzoziemskiego akcentu Conrada. Akcentu tego pisarz nie pozbył się do końca życia. W chwilach podniecenia wymowa jego stawała się niemal niezrozumiała i to było powodem, że nigdy nie wygłaszał prelekcji i odczytów publicznych. We wczesnych swych powieściach stale mylił *shall* z *will* i nie mógł się nauczyć prawidłowej wymowy słowa "Salisbury".

Conrad w swoim życiu lądowym zatrzymał na zawsze coś z niepokoju marynarza, który nigdzie długo usiedzieć nie może, bo coś go pcha z jednego miejsca na drugie. Zawsze jednak powracał do Kentu, który był jego ulubioną częścią Anglii. Kent przesyła ze swą bogatą przeszłością historyczną, łagodnie sfalowanym krajobrazem i malowniczymi farmami był idealnym miejscem do pracy i odpoczynku w ścisłym gronie rodzinnym. Conrad nigdy nie prowadził szerokiego życia towarzyskiego; nawet w ostatnich latach kiedy po długim okresie, w którym uznawany był tylko przez krytyków, znalazł wreszcie uznanie u publiczności i zdobył większą ilość pieniędzy, nie zmienił tego zwyczaju. Lubił jednak zawsze przyjmować przyjaciół (jednym z nich był John Galsworthy, autor "Sagi Rodu Forsytów"), a jego czarująca gościnność miała cechy wybitnie polskie. Conrad brał również udział w życiu Bishopsbourne przede wszystkim przez hojne zasilanie pieniędzmi lokalnych imprez charytatywnych, ale mieszkańcy wioski rzadko go widywali. Dla nich pozostał na zawsze "egzotycznym cudzoziemcem" i być może niektórzy tylko czytali jego książki. Pomimo tego jednak w parę lat po jego śmierci z inicjatywy tychże mieszkańców dobudowano do miejscowego "Hallu" przedsionek i umieszczono na jego froncie płaskorzeźbę w drzewie przedstawiającą głowę Conrada. W otoku znajduje się napis: *Joseph Teador Conrad Korzeniowski*. Po lewej stronie płaskorzeźby jest dedykacja o brzmieniu następującym: *To Joseph Conrad in affectionate memory of the Great Writer who spent some part of his life at Oswalds in this village, this Porch has been erected by numerous friends and admirers throughout the world*". Zaś po prawej stronie umieszczono słowa wyjęte z ostatniej niedokończony książki p.t. "Suspense" (powieść z epoki napoleońskiej), którą pisał w Oswalds tuż przed śmiercią: *Indeed, as a matter of fact, he is not very far from us where we sit. But there are men and women, too,*

whose stars mark them for loneliness no man can approach. You mean because they are great? Because they are incomparable.

W tylnym pokoju hallu wisi fotografia osób przybyłych na uroczystość odsłonięcia przedsionka. Pod fotografią jest napis: *The Conrad Porch, Bishopsbourne, October 19th, 1927.* Na fotografii znajduje się żona Conrada Jessie, dziś już nieżyjąca, i jego młodszy syn John (architekt, który mieszka obecnie niedaleko Broome Park o dwie mile od Bishopsbourne), a także ówczesny dziekan Canterbury (obecny biskup Chichesteru), ówczesny ambasador R. P. Skirmunt oraz osobisty przyjaciel Conrada R. D. Cunninghame Graham i parę innych osób. W pokoju tym znajduje się również duża i piękna fotografia Conrada z dedykacją jego żony, p. Jessie Conrad dla Bishopsbourne.

Oswalds posiada rozległy ogród, który przylega do tyłu domu. Kiedyś utrzymany był podobno bardzo starannie, bo Conrad nie znosił najmniejszego zaniedbania. Jest to ogród typu holenderskiego, podzielony na kilka części murem z czerwonej cegły. Z jednej części do drugiej przechodzi się przez maleńkie drzewczki na murze. Grządki bukszpanu w pierwszej części ogrodu do dziś zachowały kształt nadany im przed laty. Zresztą ogród zarosły jest chwastami, pomiędzy którymi błyskają czerwone lampki maków i niebieskie niezapominajki. Z tyłu domu jest też coś w rodzaju niskiego, zakrytego ganku, na którym Conrad lubił siadać w ciepłe popołudnia i przyglądać się zabawom ptaków skaczących po trawniku. Musiały wtedy patrzeć na niego te same wielkie drzewa o purpurowych liściach, a ta sama wiejska cisza sprzyjała swobodnemu biegowi jego myśli.

Jeśli chodzi o stosunek Conrada do Polski, to pobyt jego w Oswalds był okresem, kiedy sprawa ta dawno już i nieodwołalnie rozstrzygnięta została w jego sumieniu. Conrad zmienił świadomie narodowość pod wpływem impulsu silniejszego od jego woli. Jednak pokłady dawnych wspomnień nie zamarły i zachowały wiele ze swej siły uczuciowej, a wypadki rozgrywane się w Polsce zawsze były mu bliskie. Świadczy o tym chociażby jeden z jego listów, pisany w końcu marca 1920 roku do J. Quinna, w którym wyraża radość, że Polacy nieugięci trzymają front przeciw bolszewikom i bronią cywilizacji "against the dangers of barbarism once Tartar and Turkish and now even worse, because arising no longer from the mere savagery of nomad races, but from an enormous seething mass of sheer moral corruption — generating violence of more purposeful sort".

Chociaż dzieci swoich nie nauczył po polsku, to przecież sam pamiętał dobrze do końca życia język ojczysty. List do Żeromskiego, wysłany w kwietniu 1923 r. z Oswalds, pisany był po polsku z nieznacznymi tylko anglicyzmami. Prócz tego Conrad korespondował z Anielą Zagórką (która tłumaczyła jego książki na język polski) i z Brunonem

Winawerem, któremu przetłumaczył nawet jedną z jego sztuk na język angielski.

Conrad umarł 3 sierpnia 1924 roku. Ostatnich kilka dni przed śmiercią czuł się lepiej niż zwykle i nic nie wskazywało na szybki koniec. Młody przyjaciel Conrada i autor książki o nim (*The Last Twelve Years of Joseph Conrad*) Ryszard Curle przyjechał aby spędzić week-end w Oswalds. Conrad był w doskonałym humorze i planował podjąć na nowo pisanie, które zaniedbał przez parę ostatnich miesięcy ze względu na zły stan zdrowia. "Mój umysł jest dziś świeższy niż kiedykolwiek" — powiedział — "i wkrótce znów wezmę się do roboty".

Niestety w ciągu następnego dnia ataki duszności stały się częstsze i Conrad zmuszony był prosić, aby zostawiono go samego, tak przykrą była mu myśl, że najbliżsi widzą jego cierpienia. Wzywano dwukrotnie lekarza (obcego zresztą, bo domowy był na wakacjach) ale za każdym razem stwierdzał on, że nie ma powodu do niepokoju. Conrad był sam w chwili śmierci. Umarł o godzinie 8,30 rano siedząc na swym fotelu. Kiedy wszystkie zabiegi domowników okazały się bezskuteczne i położono go na łóżku nieżywego, Curle powiedział, że na widok martwego przyjaciela przyszedł mu na myśl słowa, które Conrad sam kiedyś napisał w "Zwierciadle Morza":

"Nikt nie wie z jakimi myślami, z jakimi żalami w sercu i słowami na ustach umarł. Lecz jest coś niewypowiedziane podniosłego w nagłej śmierci tych ludzi, którzy z największego nasilenia walki i szamotania się na powierzchni życia, przeszli nagle do głębokiej ciszy ochłani i śpią spokojnie od początku wieków".

Conrad pochowany został w obrządku katolickim na odległym krańcu cmentarza miejskiego (*City Cemetery*) w Canterbury, w miejscu zarezerwowanym dla katolików. Cmentarz ten leży trochę poza miastem. Wędrowiec zdążający tam ma cały czas wrażenie, że wieże katedry kanterburyjskiej towarzyszą mu w drodze. Wrażenie to jest tak silne, że kiedy osiąga bramę cmentarną, czuje się prawie zmuszony, aby raz jeszcze odwrócić się i zobaczyć je w całym majestacie. Sam cmentarz jest bardziej malowniczy niż inne cmentarze angielskie, rośnie na nim wiele drzew i ogromna ilość rumianków, których nikt nie pielęgnuje, ale i nikt nie zrywa. Nagrobek Conrada wykuty jest z szarego kamienia; nie ma na nim nic, nawet krzyża a tylko napis: *Joseph Teador Conrad Korzenkowski — born December 3rd, 1857 — died August 3rd, 1924, i kilka słów z Edmunda Spensera, poety angielskiego z XVI wieku: Sleep after toyle, port after stormie seas, ease after warre, death after life does greatly please.*

Szary złom jakby przez burzę poszarpanej skały wznosi się wyżej niż sąsiednie kamienie nagrobne i wygląda jakby na zawsze wydany został na pastwę samotnych wiatrów wiejących od morza. ALEKSANDRA POLESKA.

JERZY PIETRKIEWICZ.

LIRYKI

WYPATRZONE.

*Zaraz za opłotkami chmur
słyszysz : szczekają gwiazdy
na turkot srebrnych wozów.*

*I jeszcze : brodaty bór.
i jeszcze : warłocze mrozu
z kokardami upiętymi na szumie.*

Patrzeć — patrzeć. I nie rozumieć.

PRZESTROGA

*Nie szukaj wiatru gniazd
skąd drzewa wyfruują młode
na poklask barw.*

*Odcisniętych nie szukaj przywidzeń
na rudym trzęsawisku mgły.
Kłombów nie licz, idąc bożym ogrodem,
bo w każdym kłombie kwiat kolorem kpi.*

ŚNIEG : CARITAS

*Poezja spada z nieba
ukosem.*

*Kamiemy pejzaż ulic się zawahał —
i każda czerń śniegowi kwili : "przebac"
okaleczonym kołami glosem.*

*Bandaże — bandaże mota ktoś miastu
na dachach.*

RYMY CZĘSTOCHOWSKIE PODSZEPNIĘTE NA SOUTH KENSINGTON 9 MAJA 1946 R.

*O, gdyby śniade kopuły
miedzianym wydechem wyczuły
nieba muskuły !*

*O, gdyby obłok sprężony
schwycił na lasso dzwony
i z gniazd dźwięku wypłoszył wrony . . .*

Marzec-czerwiec, 1946

DO NASZYCH CZYTELNIKÓW

"Myśl Polska" nie korzysta z żadnych subwencji i opiera się wyłącznie na wpłatach czytelników.

Prosimy uprzejmie o regularne opłacanie prenumeraty.

UWAGI

ŚLUBOWANIE II KORPUSU

W końcu maja rząd brytyjski ogłosił decyzję przeniesienia II Korpusu na teren Wlk. Brytanii, gdzie wojska polskie, począwszy od oddziałów II korpusu, mają być zdemobilizowane, przechodząc uprzednio przez t.zw. Polski Korpus Przystosobienia. Decyzja brytyjska wywołała spontaniczną reakcję, co wyraziło się w uroczystościach, które w dniu 15 czerwca odbyły się w oddziałach II Korpusu. W dniu tym wszystkie oddziały Korpusu złożyły ślubowanie. Centralna uroczystość miała miejsce w Loreto na nowym, niedawno poświęconym cmentarzu wojskowym, na którym, u stóp loretańskiej Bazyliki, spoczywają ci, którzy polegali w czasie walk nad Adriatykiem i w Apeninach.

Nie podajemy dziś pełnego tekstu deklaracji, jaką w imieniu żołnierzy II Korpusu podpisał gen. W. Anders, gdyż do chwili oddania numeru *Myśli* pod prasę nie nadeszły jeszcze pisma II Korpusu do Londynu. Zakończenie deklaracji brzmiało:

„Jako Wojsko Suwerennej R.P., wierne przysiędże żołnierskiej, składamy dzisiaj wobec Boga, naszych sztandarów wojskowych oraz grobów naszych poległych kolegów następujące ślubowanie:

„Zespoleni z dążeniami całego Narodu, tak w Kraju, jak i na obczyźnie, ślubujemy twardo nadal w walce o wolność Polski, bez względu na warunki, w których przyjdzie nam żyć i działać.”

Tekst ślubowania oddaje ściśle nastroje i postawę żołnierzy.

Spotkało nas jeszcze jedno dotkliwe i bolesne uderzenie, którego zresztą od dawna można było oczekiwać, ale dalsza walka o pełną niepodległość nie zostaje ani na chwilę przerwana.

Przesuwanie II Korpusu do Wlk. Brytanii rozpoczęło się w pierwszych dniach czerwca. Obecnie znajduje się już terenie Anglii około 15.000 żołnierzy. Są to przeważnie oddziały 14 Wielkopolskiej Brygady Panc. i 2 Warszawskiej Dywizji Panc. oraz 7 Dywizji Piechoty. Ogółem przybędzie około 100.000 osób, razem z rodzinami żołnierzy (około 4.500). Przyjadą również szkoły: zarówno wojskowe, jak i cywilne (szkolnictwo średnie 4.000 osób), oraz żołnierze-studenci, którzy kilka miesięcy temu rozpoczęli studia na uniwersytetach włoskich.

Przejsie całego Korpusu do Wielkiej Brytanii potrwa prawdopodobnie do Bożego Narodzenia. Przybycia gen. Andersa oczekuje się w początkach jesieni.

Oddziały II Korpusu są umieszczane na terenie Anglii z tym, że tylko bardzo niewielka ilość będzie osadzona w Szkocji.

SPREPAROWANE REFERENDUM

Anglosasi posiadają specjalne określenie: *social engineering* na określenie metod, jakie stosują komuniści w krajach, w których dorwali się do władzy, w dążeniu do „urobienia” i wyzyskania materiału ludzkiego dla swych celów. Owa „społeczna inżynieria” obejmuje oczywiście również odpowiednie preparowanie wszelkich wyborów i głosowań.

Sprawa jest naturalnie najłatwiejsza tam, gdzie żadnemu innemu ugrupowaniu, poza partią komunistyczną, nie wolno rozwijać jakiegokolwiek działalności, a więc tym samym

i uczestniczyć w wyborach. Tam, gdzie z tych czy innych względów komuniści nie mogą jeszcze formalnie wprowadzić ustroju monopartyjnego, posługują się chętnie stworzonymi i kierowanymi przez swych agentów partiami marionetkowymi, a w wypadku wyborów używają wszelkiego rodzaju nacisku i terroru, by doprowadzić do utworzenia „bloku”. Czasami i to się nie udaje — „inżynierowie społeczni” mają jednak i na to swe sposoby.

Już na parę tygodni przed t. zw. referendum, wyznaczonym na dzień 30 czerwca, wiadome były wszystkim, jako tako orientującym się w dzisiejszej rzeczywistości polskiej, przybliżone oficjalne „wyniki” tego referendum. Wobec tego, że Mikołajczyk rzucił hasło głosowania „nie” w odpowiedzi na pytanie, dotyczące drugiej izby parlamentu, rzecz szła o to, jaki odsetek głosów „przydzielony” będzie zwolennikom tego stanowiska przez zasiadających w komisjach wyborczych — z wyłączeniem jakiegokolwiek niezależnej kontroli — komunistycznych „inżynierów społecznych”. Przypuszczenia, wyrażane na ten temat zarówno wśród Polaków w kraju i za granicą jak i przez poinformowanych cudzoziemców, były zupełnie zgodne między sobą. Przewidywano, że choćby 80 czy 90% głosowało „nie” w odpowiedzi na pierwsze pytanie, „obliczanie” głosów zostanie dokonane w taki sposób, by przecięż stanowisko rządu uzyskało „większość.”

Do chwili, gdy niniejszy zeszyt „Myśli” idzie pod prasę, radio warszawskie podało tylko bardzo ułamkowe „wyniki” referendum — są one jednak zdumiewająco zgodne z przytoczonymi wyżej przypuszczeniami.

Jest rzeczą jasną, że „inżynierowie społeczni”, popełniwszy takie oszustwo, nie mogą dopuścić, by zapowiedziane na listopad r.b. wybory do parlamentu wykazały jakiegokolwiek „osłabienie” wpływów rządzącej kliki. Jeśli nie będzie można użyć metod dotychczasowych, wynajdą inne.

Jakże jednak w świetle tego nieuniknionego obrotu wypadków wygląda linia polityczna p. Mikołajczyka, który za garść tanich frazesów jałtańskich wylał się z jednolitego frontu narodowego, wyrządzając sprawę narodowej nieobliczalnej wprost szkody? Ostatnie wydarzenia na konferencji paryskiej, mianowicie zgoda Mołotowa na projekt kompromisowy w sprawie Triestu, świadczą, że przy właściwej postawie można Rosję stopniowo doprowadzić do zmiany zajmowanego stanowiska.

NOWE PROBLEMY EMIGRACJI

W pierwszych dniach czerwca b.r. odbyły się pierwsze powojenne kongresy międzynarodowe pisarzy oraz dziennikarzy. Kongres pisarzy miał o tyle charakter powszechny, iż odbył się w ramach organizacji międzynarodowej P.E.N. Klubów. Nie wszyscy pisarze do tej organizacji należą, ale nie mniej wysuwa się ona na czoło w dziedzinie kontaktów i współpracy pisarzy różnych narodowości. Międzynarodowy kongres dziennikarzy odbył się w ramach *Fédération Internationale des Journalistes*, organizacji znanej zbyt dobrze w świecie dziennikarskim, by podawać o niej więcej szczegółów.

Kongres pisarzy odbył się w Sztokholmie, a więc w stolicy jednego z tych krajów, które wojna oszczędziła. Jednym z głównych problemów kongresu była sprawa polskich pisarzy na emigracji, którzy w warunkach

obecnych nie mogą wracać do Kraju. Wystosowali oni list do kongresu domagający się uznania ich jako osobnej grupy P.E.N. na wygnaniu. *The Times* pisze o tym w sposób następujący:

„Jedna rysa przejawiała się we formie listu od polskich pisarzy w Londynie, domagających się uznania jako grupa P.E.N. na wygnaniu, a to na tej podstawie, iż w Polsce nie ma wolności słowa. Delegaci polscy (t. zn. z Warszawy — przyp. *Myśli Polskiej*) mogli argumentować, że sytuacja nie jest prosta: obowiązuje w Polsce cenzura polityczna, mniej surowa zresztą niż pod plk. Beckiem; znieść ją, znaczyliby to pozwolić na wolność uzewnętrznienia się gwałtownych uczuć antyrosyjskich, co mogłoby wywołać zamieszania, za które ludność polska by zapłaciła, bez względu na to kto by miał z tego korzyść”.

Trzeba przyznać, że *Times* streścił sytuację sztokholmską w słowach o tyle dyskretnych, o ile nie pozostawiających wątpliwości. Nie mógł naturalnie polemizować co do cenzury pod Beckiem i pod Bierutem. W Sztokholmie nie powzięto żadnej decyzji w sprawie pisarzy emigracyjnych, przez co oczywiście sama sprawa nie została załatwiona.

Drugim rysem charakterystycznym obrad sztokholmskich była nieobecność przedstawicieli pisarzy sowieckich, którzy wprawdzie nie mają swojej własnej krajowej grupy P.E.N. ale którzy zostali na kongres zaproszeni przez ośrodek szwedzki. Te koła literackie zachodnie, które przywiązują znaczenie do samych słów i frazesów, a nie do treści pojęć przez nie określanych, doznały głębokiego zawodu. Mówi się wiele o narodach zjednoczonych, o wolności, o demokracji, a zamyka się oczy na to, że w Sowietach słowa te oznaczają zupełnie co innego i że nie ma tam wcale pisarzy niezależnych, to znaczy zależnych tylko od swego sumienia, a nie od swojego rządu.

Podobne problemy zarysowały się również na międzynarodowym kongresie dziennikarzy w innej stolicy skandynawskiej, w duńskiej Kopenhadze. I tu były świetne przyjęcia, i tu przedstawiciele lokalnego domu królewskiego inaugurowali tę imprezę, ale i tu zaznaczyła się rozbieżność między słowami i czynami. Emigracyjni dziennikarze polscy mieli jednak o tyle lepszą sytuację na tym kongresie, niż polscy pisarze emigracyjni w Sztokholmie, że przedstawiciel ich organizacji zawodowej na emigracji, red. M. E. Rojek, wziął udział oficjalny w pierwszej części kongresu, jaka dotyczyła rozwiązania obu dotychczasowych federacji międzynarodowych, przedwojennej i wojennej, a następnie, po specjalnym dramatycznym głosowaniu, został dopuszczony do głosu na temat zasad wolności prasy, w drugiej części kongresu, do której już polski związek dziennikarzy na emigracji oficjalnie nie został zaproszony. Nowozałożona federacja międzynarodowa dziennikarzy nie znalazła w swoim łonie miejsca dla żadnej organizacji dziennikarskiej emigracyjnej. Zarówno bowiem federacja dziennikarska, jak i międzynarodowy P.E.N. Klub, opierają się na zasadzie terytorialnej, to znaczy dopuszczają tylko takie grupy organizacyjne swoich członków, które organizują się w ramach swojego państwa.

Gdyby większość państw współczesnej Europy i współczesnego świata reprezentowała formy wolnościowe ustrojów politycznych, sprawa byłaby zupełnie prosta. Tymczasem tak nie jest. W większości tych państw obowiązuje w dziedzinie twórczości duchowej zasada: *cuius regio eius religio*. Kto nie poddaje się w tych krajach dyktaturze duchowej, reprezentowanej najczęściej przez policję polityczną, ten może tylko „bić się, albo

gnię w Sybirze”, jak to sformułował już sto lat temu Mickiewicz.

Znamieniem naszych czasów są masowe emigracje z krajów ogarniętych najazdem obcym, lub wojną domową i reżimem dyktatury. Można w pewnym sensie porównać to zjawisko z wędrówką narodów w okresie upadku imperium rzymskiego. Podobieństwo sięga dalej, niż by to z odległości czasu wynikało. Grupy przybywające do nowych krajów, zarówno wtedy jak i obecnie, ani nie chciały wtedy ani nie chcą dzisiaj zatracić swojej indywidualności zbiorowej. Wtedy chodziło o związek krwi ze swoim szczeniem, dzisiaj o związek duchowy z tą wielką a nie dającą się określić w terminach wyłącznie fizycznych całością moralną, jaką jest naród i jego dorobek duchowy wewnątrz naszej cywilizacji.

Emigracje chcą nadal żyć swoim życiem narodowym, by w miarę zmiany warunków politycznych zespolić się z powrotem ze swoimi narodami, lub utrzymywać z nimi związki duchowe. Dla cywilizacji ogólnej takie dążenia idealistyczne mogą być tylko korzystne, mogą ją tylko wzbogacić i pogłębić. I dlatego szczególnie obowiązek spada na emigracyjnych pisarzy i dziennikarzy podtrzymywania ognia twórczości swoich grup narodowych i dostarczania im form i treści życia umysłowego i duchowego. Muszą oni pracować w tym kierunku, bez względu na to czy znajdują zrozumienie dla swojej sytuacji u kolegów z innych narodów. Ale na dłuższą metę i dla tych ostatnich musi się stać jasne, iż nie jest możliwe podtrzymywanie zasad wolności w stosunku do pewnych tylko grup ludzkich, traktowanie zaś innych jako banitów, lub pariasów. Emigracyjni pisarze i dziennikarze muszą mieć swój określony status w tych międzynarodowych organizacjach, których celem jest rozwijanie współpracy międzynarodowej w dziedzinie twórczości intelektualnej i duchowej.

GENERAL MICHAJŁOWICZ

Draża Michajłowicz należy bodaj do najbardziej tragicznych postaci drugiej wojny światowej. Tragedia jego, której epilog rozgrywa się obecnie w Belgradzie, wpływa z tragedii całego narodu jugosłowiańskiego rzuconego przez sojuszników zachodnich — świadomie czy nieświadomie — na pastwę komunistycznej mniejszości.

Proces toczący się w Belgradzie posiada wszystkie cechy znanych procesów moskiewskich. W umyśle Polaków kojarzy się on zwłaszcza z procesem 16 przywódców Ruchu Podziemnego z ubiegłego roku. W jednym i drugim wypadku inicjatorem procesu bynajmniej nie chodzi o obiektywne ustalenie prawdy, ale o cel polityczny: zdyskredytowanie i zniszczenie przedstawicieli oraz ośrodków niezależnej polityki narodów środkowo europejskich.

Podobnie zresztą jak w procesie moskiewskim znaną Michajłowicza posiadają wszelkie znamiona zeznań człowieka nerwowo złamanego. Świadczyć o tym może następujące wyznanie oskarżonego, cytowane przez korespondenta *Daily Telegraph* d. 14 czerwca: “Są chwile, kiedy jestem zmęczony do tego stopnia, że mówię: tak, gdy mam na myśli: nie”. Zapytany, czy otrzymywał broń od Niemców, Michajłowicz najpierw zaprzeczył, a następnie oświadczył: “tak”, dodając: “wszystko mi jedno, nie chcę wstrzymywać biegu procesu”.

Niezależny los, jaki dziś spotyka Michajłowicza, dobitnie uwytkła skutki polityki wielkich mocarstw w stosunku do mniejszych sprzymierzeńców w środkowej Europie.

Z jednej strony polityka angielska wychodziła z założenia, że należy popierać wszystkie grupy walczące z okupantem, niezależnie od strat, jakich w wyniku tych działań dozna cywilna ludność na skutek represji. Z drugiej strony Moskwa dawała poparcie wyłącznie partiom komunistycznym danych krajów i zorganizowanym przez nie oddziałom partyzanckim, przy czym zadaniem ich były nietyle doraźne osiągnięcia militarne, ile opanowanie politycznego terenu.

Michajłowicz, reprezentujący przede wszystkim interesy własnego narodu, stał na stanowisku, że główne siły pozostające pod jego dowództwem winny być rzucone do walki z Niemcami dopiero w momencie decydującym o losach państwa. Koszta bowiem płacone przez ludność cywilną za każdy akt sabotażu były niewspółmiernie wysokie w stosunku do zadanych nieprzyjacielowi strat. Między tym stanowiskiem a zarzuconą mu współpracą z Niemcami jest zasadnicza różnica. Brak kompletnej uległości wobec brutalnej taktyki aliantów zachodnich, nie liczącej się z najżywniejszymi interesami mniejszego sojusznika, oraz wzrastająca presja ze strony zwalczającej go Rosji, przyczyniły się do porzucenia Michajłowicza na rzecz agenta Moskwy — Tita. Ten stan rzeczy został definitywnie przypieczętowany w układzie tcherańskim.

Od tego czasu Michajłowicz pozostał osamotniony. Zwalczany przez Niemców i Rosjan, a opuszczony przez zachodnich aliantów, nie przestał być symbolem nieugiętej woli narodu jugosłowiańskiego do niepodległego bytu państwowego. Być może, że za twardą obronę interesów swojego narodu Michajłowicz zapłaci życiem. Ale właśnie dlatego, że był wyrazicielem woli jugosławii w walce o prawdziwą niepodległość, on, a nie Tito, pozostanie uosobieniem najwyższych dążeń swojego narodu.

PODEPTANE WARTOŚCI

Niedawno to jeszcze czasy, kiedy w jednym z teatrów na Shaftesbury Avenue w Londynie szła sztuka Terence Rattigan'a *Flare Path*, która była pięknym przejawem polsko-brytyjskiego braterstwa broni, zadziergniętego w czasie Drugiej Wojny Światowej. Akcja tej sztuki, która miała setki przedstawień i cieszyła się niesłabnącym powodzeniem przez dłuższy czas, toczyła się w jednej ze stacji R.A.F.-u na prowincji Anglii; jednym z głównych bohaterów był lotnik Polak, którego sylwetkę autor nakreślił ze zrozumieniem i dużą dozą ciepłego uczucia.

Nie brakło i innych sztuk tego typu, kiedy zaś jedna z wytwórni hollywoodzkich wyprodukowała film p.n. *To Be or Not To Be*, przedstawiający działalność polskiego ruchu podziemnego w Warszawie w formie może trochę za lekkiej, choć zresztą pozbawionej jakichkolwiek złośliwości, kilku poważnych brytyjskich krytyków filmowych wytknęło od razu ten nietakt w swych recenzjach.

Od roku 1944 powiał jednak po obu stronach Atlantyku wiatr odmienny. Pojawiać się zaczęły filmy produkcji hollywoodzkiej, w których widoczna była tendencja złośliwego pomniejszania pozycji moralnej, jaką Polska zdobyła sobie przez swoją twardą, ofiarną walkę z najeźdźcą. W jednym z tych obrazów agentką Gestapo okazuje się Polka, w innym ośmieszona jest postać polskiego generała, w jeszcze innym występują na tle małego miasteczka rzekomi polscy “kolaboracjoniści”.

Skądże ta nagła zmiana? Napewno nie spowodowała jej postawa społeczeństwa polskiego, które nie tylko nie zeżało w zmaganiach się z Niemcami, ale w tym właśnie okresie

zdobyło się na ten heroiczny i desperacki poryw, jakim było Powstanie Warszawskie. Nie słyszeliśmy jednak o filmie, którego przedmiotem byłoby to Powstanie, — ogólna tendencja była zupełnie odwrotna. Tendencja ta była po prostu refleksem polityki *appeasement*, polityki, która dla “ułagodzenia” potężnego sprzymierzeńca wschodniego poświęciła nie tylko najżywniejsze interesy Polski, ale nawet jej byt niepodległy. Niemalą rolę odegrały także wpływy czynników prosowieckich, a podobno nawet wprost sowieckich w niektórych wytwórniach hollywoodzkich.

Można by jednak przypuszczać, że przynajmniej świat teatralny, mający na ogół wyższe ambicje kulturalne od filmowego i mniej przesiany nieciekawymi elementami różnego rodzaju, nie ulegnie takim sugestiom. I te nadzieje okazały się jednak zawodne.

W roku ubiegłym w Piccadilly Theatre w Londynie grana była przez dłuższy czas sztuka p.t. *Jacobovsky and the Colonel*, której jednym z tytułowych bohaterów był złośliwie skarykatyzowany pułkownik wojsk polskich, mieszanina głupoty i tromtadrackiej megalomanii, bigoterii i manii poszukiwania tanich przygód miłosnych. Akcja przepłataną była wysoce krzywdzącymi uwagami na temat Polski, zwłaszcza zaś kampanii wrześniowej 1939 roku.

Autor sztuki, Franz Werfel, przebywał w pierwszym okresie wojny jako uchodźca z Austrii na terytorium francuskim. Kiedy na Francję nawała niemiecka, zrobił ślub, że jeśli danym mu będzie uniknąć wpadnięcia w ręce hitlerowców, napisze powieść o św. Bernadecie i cudownej grocie w Lourdes. Przepłynąwszy szczęśliwie Atlantyk, powieść taką istotnie w Ameryce napisał. Oparty na jej podstawie film p.t. “Pieśń Bernadetty” cieszył się dużym powodzeniem także w W. Brytanii.

Jakie pobudki powodowały (nieżyjącym już dzisiaj) Werflem, gdy wkrótce po tym wypuścił na świat swój sceniczny paszkwil na Polaków, trudno dociec. W każdym razie sztuka jego wyrządziła nam ogromną szkodę, zniekształcając i trywializując w oczach publiczności krajów anglosaskich prawdziwe oblicze polskiego wkładu do wojny.

Nową pozycją w tym zakresie jest utwór sceniczny *Frieda*, grany od kilku tygodni w Westminster Theatre w Londynie. Treść jego omawiana już była w prasie polskiej, ukazującej się w Wielkiej Brytanii, nie będziemy więc do niej powracać. Tak się jakoś złożyło, że wystawienie tej sztuki, w której jedną z głównych postaci jest zwyrodniały i znikczemniały hitlerowiec, przybrany w mundur II Korpusu Polskiego, zbiegł się z kampanią znanego odłamu prasy insynuującej, że większa część tego Korpusu — to najemnicy hitlerowscy, którzy walczyli we Włoszech przeciw armiom sprzymierzonym. Zbieżność ta zapewne jest przypadkowa, nie zmniejsza to jednak szkody, jaką sztuka ta wyrządziła imieniu polskiemu, i tak już spotwarzanemu przez różne czynniki w sposób najbardziej niesprawiedliwy i okrutny.

Nic słyszeliśmy do tej pory, by w Londynie wystawiany był jaki utwór, który by w podobny, jak w wyżej wspomnianych sztukach, sposób wprowadzał na scenę przedstawicieli sowieckiego czy amerykańskiego sprzymierzeńca W. Brytanii lub rzucał najmniejszy choćby cień na armie tych krajów.

Czyżby naprawdę takie wartości naszej cywilizacji, jak lojalność wobec aliantów i przyjać, rycerskość wobec słabszych, a nawet zwykła przyzwoitość i poprawność w stosunkach między ludźmi, były już dla wielu kół na Zachodzie tylko rekwizytami umarłej przeszłości?

KULTURA I ŻYCIE

Pół wieku filmu — Japońska "tanka" — British Museum —
Chesterton i Gorki — Ghetto psychiczne

HISTORIA następuje czasowi na pięty: jeszcze aktualność nie zdążyła nachwalić się swoją ważnością, a już przeszłość przejmie ją, umniejsza lub powiększa, segreguje, klasyfikuje. Nawet w zakresie naszych wspomnień jesteśmy uczestnikami historycznego procesu.

Cóż bardziej nowego i aktualnego nad film? Kino stało się w naszej epoce jeśli nie czynnikiem upowszechnienia kultury, to zapewne fabryką standaryzowanych rozrywek.

Sztuka filmowa liczy już sobie pięćdziesiątkę. Pół wieku rosły jej ambicje, pół wieku rozwijały się jej formy wypowiedzi. Warto przypomnieć kilka dat, nazwisk i tytułów.

W grudniu 1895 r. otworzono w Paryżu kinematograf, przeznaczony dla szerszej publiczności; w 1907 roku został wyprodukowany film *Ben Hur* — pomyśleć: aż w szesnastu scenach. W 1913 r. sukces ogromny zdobyła filmowa wersja *Quo Vadis*, właśnie *Quo Vadis*.

Aktorzy pogardzali początkowo tym fotografowanym teatrem, który dzieciennie cieszył się z efektów ruchowych, pokazując niezliczone pościęgi i ucieczki, tanie cudowności, czarno-białą magię ekranu. Ale kiedy sławna Sara Bernhardt zgodziła się wystąpić w *Królowej Elżbiecie*, jednym z przełomowych filmów długometrażowych (1912), na uprzędzonych i nieufnych znalazło się lekarstwo. Tym niemniej kino nie polegało na aktorach teatralnych, którym trudno było przystosować się do żmudnej, hałaśliwej pracy; film wykształcił własny typ aktora, publiczność zaczęła odkrywać swoich ulubieńców — "gwiazdy". Na długiej liście nazwisk znajdziemy pamięć takich pionierów "srebrnej muzy", jak: Tom Mix, Lon Chaney, Chaplin, Rudolf Valentino, Mary Pickford, Pola Negri, Douglas Fairbanks, Emil Jannings, McLaglen, Marlene Dietrich, i niezapomniana Greta Garbo.

Rok 1928 przynosi rewolucję w sztuce filmowej: dźwięk. Wiele dawnych sław znika razem ze śmiercią filmu niemego. Kino przechodzi nową fazę, narażone na zbytni wpływ operetki, kabaretu i przedeklamowanej gry teatralnej. Ale w czwartej dekadzie naszego stulecia zdobycze techniczne filmu niemego i dźwiękowego harmonizują się; na miejsce efekciarstwa przychodzi sprawiedliwione sztuką efekty.

The New London Film Society, korzystając z pomocy muzeów filmowych (oczywista oznaka, że kino dostało już się pod nadzór klasyfikującej historii) urządziło w ciągu ostatnich sześciu miesięcy pokaz, ilustrujące półwiekowy rozwój dziesiątej muzy; między innymi kronikarz ogląda pierwszy film René Clair'a, dramat reżyserowany przez Stroheim'a, oraz wspaniałe studium psychologiczne "donosiciela" w wykonaniu McLaglen'a.

Niewątpliwie do najwybitniejszych dzieł sztuki filmowej, które zadecydowały o rozwoju kina w kierunku samorodnego stylu, należą *Narodziny Narodu* (1914), dynamiczny obraz wojny domowej w Ameryce Północnej. Wyprodukowany przez Anglików *Henryk V* Szekspira może posłużyć za wzór do studiów jak różna jest technika czysto filmowa od techniki teatralnej (*Henryk V*, trudny scenicznie, słaby psychologicznie — daje przecież wielkie możliwości reżyserowi filmowemu,

który rozumie także konwencjonalizm sceny).

Międzynarodowość kina była jego organicznym dynamizmem; tym niemniej w ostatnich latach odczuwa się coraz silniej tendencję odśrodkową w kierunku "regionalnego" filmu: stąd sukces filmu meksykańskiego *Portret Marii* (z Dolores del Rio w "Curzon" Cinema) i szwedzkiego dramatu psychologicznego *Szał* (w "Academy"). Ameryka narzuca standaryzowany typ rozrywki filmowej, który nie zapokaja poza-rozrywkowej tęsknoty do autentyzmu (w *Portrecie Marii* problem nieważności rasowej nie jest oryginalny, ale zato tło regionalne ma dużą siłę przekonującą, naprz. scena błogosławienia zwierząt).

Filmy regionalne nie mogą, jak dotąd, rywalizować na rynku z potentatami amerykańskimi. Trzeba jednak oddać sprawiedliwość Ameryce, że pozwoliła rozwinąć się geniuszowi Disney'a, którego *Fantazję* przechowuje napewno historia, tak jak przechowała *Narodziny narodu*.

Polski film należał, niestety, do najgorszych w świecie (Rumuni zdobywali się na lepsze produkcje), choć jednocześnie krytyka polska wydała jedno z pierwszych studiów o nowej sztuce, a mianowicie do dziś dnia niedocenioną książkę *Karola Irzykowskiego* pt. *Dziesiąta muzyka*.

* * *

W Japonii cesarz wyznacza co roku temat dla poetów, biorących udział w tradycyjnym konkursie. Cesarz umie wybierać stosowne tematy, ponieważ sam bierze udział w zawodach, otrzymując, rzecz jasna, pierwsze wyróżnienie. Pisanie liryków należy w Japonii do czynności uświęconych prawem niemal rodzinnym; na szczęście (i w przeciwieństwie do Polaków, którzy na ogół grzeszą tą samą wierszomanią co Japończycy) poeci ich są bardzo krótkie. Narodowy typ wiersza lirycznego, zwany "tanka", składa się jedynie z 31 sylab ułożonych wedle przyjętego standardu w następujący pięciolinijkowy schemat: 5 — 7 — 5 — 7 — 7.

"Tanka" przetrwała wicki i cieszy się tą samą niemal popularnością, co i w Średniowieczu, okresie jej rozkwitu, do czego przyczynia się naturalnie wspomniany konkurs cesarski. Podajemy za *New York Times Magazine* wiersz samego Hirohito, ułożony na zadany przez siebie temat (tematem był śnieg na sosnach):

"Bądź jako sosna biała.

Ramię wyjągnięte ku niebu

Dźwigają biały śnieg,

Dźwigają białe brzemie.

Kolor ten sam — zawsze".

(Podług przekładu angielskiego)

* * *

Londyńskie Bloomsbury żyje w dostojnym cieniu Muzeum Brytyjskiego. Mimo bombardowań, mimo wywożenia cennych zabytków ze stolicy Imperium, biblioteka Muzeum była otwarta przez cały czas wojny, dając schronienie intelektualistom wielu narodów. Grupa polska wyróżniała się liczbą, choć pewnie nie ilością "wysiedzianych" godzin. Niektórzy Polacy po sześciu latach ślęczenia wśród książek *British Museum* należą już pewnie do klasycznych typów tej szlachetnej instytucji, która udzielała gościny Markowi, Leninowi, Shaw'owi, Wellsowi.

Gdy chodzi o książki polskie, znajdujące

się w *British Museum*, im dalej w przeszłość, tym lepiej sprawa się przedstawia: w dwudziestym zaś wieku niedobory są czasem rażące (brak na przykład przekładów angielskich klasyków, dział poezji ostatnich lat pełen luk!), ale winić tu należy przede wszystkim naszych wydawców i ministrów oświaty, którzy nie dbali o zapelnienie bibliotek obcych polskimi publikacjami. I tak w katalogu czasopism Warszawa reprezentowana jest chyba w dziewięćdziesięciu procentach przez prasę żargonową: rezultat, zaiste, nieoczekiwany!

Piszemy w naszej kronice o *British Museum*, ponieważ niedawno otwarto po sześciu latach wielką, okrągłą czytelnię, sławną ze swej kopuły; podczas wojny jedynie mała sala (*North Library*) była do użyciu publiczności.

14 czerwca upłynęło dziesięć lat od śmierci wielkiego pisarza angielskiego, przyjaciela Polski, G. K. Chestertona, którego znano u nas głównie z przekładów jego powieści ("Napoleon z Notting Hill", "Człowiek, który był Czwartkiem", wystawiony także w przeróbce teatralnej, "Latająca Gospoda", "Kula i krzyż"). Chesterton, essayista ("Orthodoxy") i poeta (m. in. wiersz o Polsce, drukowany dwukrotnie w *Myśli Polskiej* wraz z poetyckim przekładem) był mało stosunkowo znany w naszym kraju, w przeciwieństwie do narodów łacińskich, gdzie naprzykład studium Chestertona o św. Tomaszu z Akwinu należy do bardzo poczytnych książek.

Także w czerwcu (18) mija dziesięć lat od śmierci pisarza rosyjskiego, Gorkiego (właściwe nazwisko: Pieszkow). Nie można chyba nakreślić większego kontrastu psychologicznego i literackiego, stawiając obok siebie tych dwu pisarzy, reprezentantów dwu cywilizacji.

* * *

Horyzonty, miesięcznik polski, wydawany we Fryburgu przez Eugeniusza Lukasa, nawiązuje mimo woli do problemu poruszonego w *Myśli Polskiej* przez autora szkicu o patriotyzmie wspominkarskim, którym zajął się w poprzednim numerze prof. Stroński. Artykuł Jerzego Jankowskiego w *Horyzontach* nosi tytuł "Trzeba wyjść z ghetta". Znajdujemy w nim takie zdanie:

"Gdyby Curie-Skłodowska zabrała się we Francji do wykładania chemii na polskich kursach dokształcających i do pisania w polskich gazetkach o tym, jak to Rosjanie uniemożliwili jej pracę naukową; gdyby Chopin ograniczył się do grywania na koncertach dobroczynnych dla rodaków, gdyby Henryk Sienkiewicz w bretońskim Tregastel nie pisał ogólnoludzkiej powieści *Quo Vadis*, ale następny tom *Pana Wołodyjowskiego* — nie było by nazwisk, na które z dumą lubimy się powoływać. Wszyscy oni umieli wyjść poza rodzime ghetto, i dlatego, stając się obywatelami świata, zostali jednocześnie wielkimi Polakami, lepszej Polsce służącymi, nawet poza grob, niż nicjeden ławo-patriotyczny trybun".

Tyle *Horyzonty*! Reakcja przeciw ciasnemu "patriotyzmowi" jest faktem. Szlachetny cytat z *Pana Tadeusza* — niestety — nie rozwiązuje problemu "psychicznego ghetta". J.P.

20 czerwca 1946 r.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

THE DARK SIDE OF THE MOON. With a preface by T. S. Eliot. London, 1946. Faber and Faber Ltd. Stron 232. Cena 12s. 6d.

Pod tym tytułem ogłoszone zostały biemiennie dzieje stosunków polsko-rosyjskich od r. 1939 aż do wypełnienia przez mocarstwa zachodnie umowy w Jałcie w r. 1945. Autorka opisuje na podstawie licznych, autentycznych dokumentów najpierw ogólne warunki rosyjskie, jako tło, oraz poprzednie stosunki polsko-rosyjskie, ujęte historycznie, wojnę z lat 1918-20, Pokój Ryski, najazd niemiecki i pakt Ribbentrop-Mołotow.

Następnie, szerzej już znacznie, okupację wschodniej Polski przez Rosjan w latach 1939-41, wywożenie ludności polskiej do Rosji i przesładowanie polskości, na podstawie opisów autentycznych, dokonanych przez ofiary, a otrzymanych przez autorkę od śp. gen. Władysława Sikorskiego jeszcze przed jego śmiercią (informuje o tym w specjalnej notce na wstępie wdowa po zmarłym generale, p. Helena Sikorska). Przewija się więc przed nami szereg opisów podających szczegóły, jakby powiedział Mickiewicz: "o mych rodaków mękach, wygnaniach, cierpieniach", owa stara, jakże dobrze nam znana historia polskiej martyrologii, opisy więzień, obozów karnych, t. zw. "lagrów", straszliwych warunków higienicznych, a przede wszystkim okrutnych cierpień moralnych, jakie zmuszeni byli znosić.

Wszystko to opisane beznamytnie, w formie protokolarnej, lecz przez to tylko bardziej jeszcze patetycznie, a co chwila przewijają się w tych opisach akcenty wiary w Polskę i niezłomnej wierności dla niej, laskiej hardości i dumy, poczucie świętości sprawy, za którą takie straszne ludzie zmuszeni są przetrwać męki i cierpienia.

Następuje z kolei pakt polsko-rosyjski, podpisany przez gen. Sikorskiego w r. 1941, amnestia dla Polaków w Rosji, tworzenie armii polskiej w Rosji przez gen. Andersa, trudności robione ze strony rosyjskiej, podróż gen. Sikorskiego do Rosji, nadzieje Polaków, poczem sprawa Ehrlicha i Altera, jej odgłosy w Stanach Zjednoczonych, natychmiastowe pogorszenie się sytuacji armii polskiej i Polaków, na koniec przymusowa ewakuacja armii polskiej do Persji.

Wreszcie: epilog. Zerwanie przez Rosję stosunków dyplomatycznych z rządem polskim (sprawa Katynia), linia Curzona, powstanie warszawskie i rząd lubelski p. Bieruta, aresztowanie i proces "szesnastu", na koniec podróż p. Mikołajczyka do Moskwy i uznanie przez mocarstwa zachodnie rządu pp. Bieruta i Osóbki-Morawskiego. "Z tym uzaniem" — jak mówi ostatnie zdanie książki — "zakonczyła się pewna era nie tylko dla Polski, ale i dla Europy; może nawet i dla świata".

Książka pisana jest z myślą wyraźnie o czytelniku angielskim, dlatego pełno w niej *understatements*, zastosowanych do psychologii tutejszego "człowieka z ulicy". Ale pisana jest tak uczciwie i tak rzetelnie, że owe "niedopowiedzenia" zupełnie jej nie szkodzą, przeciwnie, zwiększają tylko wartość i wymowę przytoczonych w niej dokumentów i każą czytelnikowi angielskiemu zastanowić się poważniej nad sprawą honoru i uczciwości polityki swego kraju.

Co więcej, każą mu zastanowić się poważniej i nad jej sensem właściwym i znaczeniem.

Jak to bowiem w przedmowie do tej książki napisał autor "Mordu w katedrze", może najznakomitszy pośród żyjących poeta angielski T. S. Eliot: "Rok temu książka ta wydawałaby się tylko książką o Polsce; dziś jest to książka o pewnej sprawie o charakterze ogólniejszym. A zagadnienie to, w swej postaci najpowszechniejszej, nie jest jedynie zagadnieniem Z.S.S.R. Dla Europejczyka jest ono problematem, czy Europa zdolna jest zachować się przy życiu. Nie mówię tu, rzecz jasna, o czysto fizycznym zachowaniu się przy życiu, ani o materialnym komforcie jej mieszkańców, ale o utrzymaniu się cywilizacji Zachodniej Europy. Bo utrzymanie się przy życiu oznacza ustawicznie świeżą działalność twórczą w sztuce i nauce i utrzymanie *przyżyciowości* w życiu politycznym. Czy to będzie możliwe, skoro naczelne ośrodki siły materialnej i bogactwa przeniosły się gdzie indziej, nie odważę się wypowiedzieć swego zdania".

Ale, jak to zaznaczył Eliot, "nie wypada narodowi, co wypowiedział wojnę Niemcom z powodu pogwałcenia przez nich granic Polski i który potem chętnie zapewnił sobie usługi polskich żołnierzy i lotników, których ofiary i dzielność służyły naszej sprawie, a nie ich własnej — ażeby teraz zapomnieć o Polsce". A świat, w którym obecnie żyjemy, "jest nie tylko odmienny, ale i mniej moralny od świata sprzed sześciu lat" bo jeśli dawniej "politycy kłamali, to kłamali tą samą terminologią, i kiedy byli winni hypokryzji, a hypokryzja dostatecznie była rozpowszechniona, to zawsze przecież imienia tego samego Boga wzywali na daremno".

Lecz jeszcze przed samą wojną — w r. 1939 — tenże sam T. S. Eliot umieścił w jednym ze swoich szkiców prorocze dla swych rodaków słowa: "Jeżeli nie ukorzyście się przed waszym Stwórcą, będziecie musieli ukorzyć się przed Hitlerem, albo przed Stalinem". Historia stosunku Anglii do Polski i Rosji, jaka w *Dark Side of the Moon* została zarysowana, potwierdza tylko, że przepowiednia ta się spełniła.

LUBICZ.

David J. Dallin: THE BIG THREE. London 1946, Allen and Unwin. Stron XI i 231. Cena 8s. 6d.

Tribune z 10 maja b.r. umieściła następującą uwagę o konferencji paryskiej: "Nawet największy idealista nie mógłby dowieść w chwili kiedy przystąpiono do traktatu włoskiego, że zderzyły się ze sobą jakieś — "zasady" albo "idee". Zderzyły się ze sobą tylko interesy wielkich potęg. . . Dlatego nie należy się ludzi, a raczej trzeba prawdziwie prosto spojrzeć w oczy, bo nikomu tu nie chodzi o sprawiedliwość, a tym bardziej o Włochów, albo o Senussi. . . Brak górnych zasad sprawiedliwości albo bezinteresownego idealizmu ilustruje dalej decyzja, powzięta względem austriackiego Tyrolu".

Ostatnia książka Davida J. Dallin'a jest doskonałym uzupełnieniem poglądów, wysuniętych przez *Tribune*. Trzeźwo i zwięźle przedstawia walkę o władzę wielkich mocarstw, opisuje tereny, gdzie ścierają się ich wpływy. W tej książce przejrzystej, o dobitnie zarysowanych konturach, znajdujemy wiele wydarzeń dobrze znanych, ale oświetlonych w nowy sposób.

Ideologie, ruchy opinii, tak zwane hasła albo slogany służą w walce o władzę obok wielkich armii, wielkich flot i lotnictwa. Metoda i taktyka sowiecka wybija się pod tym względem na plan pierwszy, wyrażają dwie różne a jednak służące sobie nawzajem tendencje, służą zasadzie ideologii komunistycznej w połączeniu z odwiecznym rosyjskim i carskim instynktem podboju przyległych ziem, albo państw. Taktyka sowiecka, raz ustępliwa, drugi raz skłonna do użycia hasła nacjonalizmu, wypróbowana została od dawna w Chinach, "nim Europa — jak pisze Dallin — nie spostrzegła ze zdumieniem jej rozwoju we Francji, Jugosławii, Polsce, Grecji, oraz u innych "ujarzmionych narodów". Czian-Kaj-Szek w tej rzekomej walce o "jedność narodową" został już dawno nazwany "zdrajcą ludu" i pomawiany "o współpracę z najezdźcą". Równocześnie "jedność narodowa" oznaczała opanowanie władzy przez komunistów, albo też była próbą wślizgnięcia się do rządu elementów komunistycznych.

Na pierwszych kartkach książki Dallin wyraża zapatrywanie, że walka o władzę i gra sił, które zdają się bezapelacyjnie wytyczać bieg wypadków, jednak w całości nie zawierają tych prawideł, wedle których państwa rosną albo upadają. Rosja np. zdawała się być usunięta od pierwszorzędnej roli po przegranej wojnie z Japonią w 1904-5 roku, a jednak powetowała sobie straty na Dalekim Wschodzie, a zyskała w dodatku wpływ na Persję, stracony w czasie Pierwszej Wojny Światowej. Za to ktoś by się domyślał, około roku 1900, że zbliża się koniec przewagi Europy nad kulą ziemską? Nikt się nie spodziewał że w 25 lat po pokoju wersalskim flota St. Zjednoczonych pięciokrotnie przerosła liczebnością flotę brytyjską i, jak pisze Dallin, Neptun odwróci swoje łaski od W. Brytanii.

Ci, którzy panują na morzach, łatwiej przetrzymują ataki armii lądowych i zwyciężają. Dallin zna jednak i tezę angielskiego geografę Halford Mackindera, wyłożoną w książce *Democratic Ideals and Reality*. Znali tę książkę Niemcy, ale nie potrafili zastosować jej nauk, bo posługiwali się zbyt brutalnymi metodami i kto wie, czy nie przegrali *Lebensraum*u jeszcze przed wybuchem wojny 1939 r. Tezą Mackindera jest, że nie ma stałości we wschodniej Europie, jeżeli jest ona podzielona na dwie strefy. Dla równowagi potrzebna jest ta trzecia, położona między Bałtykiem a Adriatykiem. Kto tą trzecią strefą władą jest panem wschodniej Europy, przetrzeźni obejmującej w pojęciu Mackindera ziemie między Wołgą a Łabą. Władca tych obszarów tym samym zapanuje nad północną Azją, a kto zdierzy "serce ładów" jest także panem "światowej wyspy", czyli Europy z dodatkiem Azji i Afryki.

Wreszcie jednym z wielkich atutów w walce o władzę, to dynamizm ludzi rządzących i tu, porównując politykę Rosji i St. Zjednoczonych w stosunku do Chin — zdawać by się mogło, że te ostatnie "nie chcą chcieć". W ciągu XIX w. polityka St. Zjednoczonych wahała się między dwiema tendencjami. Jedni politycy głosili obronę jednolitych i wielkich Chin, oraz zasadę drzwi otwartych, drudzy na przemian korzystali z drobnych, "realistycznych" zdobyczy. Żadna z tych polityk nie była dobroczynna dla samych Chin, nie uchroniła ich od wojny domowej, ani od najazdu japoń-

SETNY NUMER

skiego. Tymczasem polityka rosyjska użyskała na północy Chin to samo, co we wschodniej Europie, otoczyła granicę chińską pasmem prowincji od Rosji zależnych, które ułatwiły usadowienie się komunistów w Yenan, oraz obecne opanowanie Mandżurii przez komunistów chińskich.

Najślabszą siłą rzeczy jest zakończenie książki Dallina. Łatwo przedstawić to co było, a nawet jest, ale trudniej wysnuwać prognozy na przyszłość. Dallin poprzestaje na pobożnych życzeniach. Treść jednak jego książki i cały tok rozumowań wroży jedno — dalszy rozwój konfliktów.

J.A.Ż.

Henryk Frankel : POLAND. THE STRUGGLE FOR POWER 1772-1939. London, 1946. Lindsay Drummond, Ltd. Stron 192. Cena 12s. 6d.

Napis na "zakiecie" pracy p. Frankla zapewnia, że stanowi ona "obiektywne studium różnych zagadnień, jakie przedstawia Polska", wolne od "uprzedzeń czy stronniczości".

A oto jak wygląda ów "obiektywizm" w świetle paru na chybił trafił wybranych sformułowań:

Przykład pierwszy. Na str. 117 p. Frankel podaje tabelkę, zaczerpniętą z oficjalnego polskiego *Rocznika Statystycznego* na r. 1930, z której wynika, że według spisu z r. 1921 gospodarstwa o obszarze ponad 100 ha miały w Polsce 44.8% ogółu ziemi. Na stronie zaś 119 autor zapewnia, że "nie jest rzeczą możliwą stwierdzić, do jakiego stopnia reforma agrarna przekształciła strukturę rolną po r. 1921, brak bowiem danych dla późniejszego okresu". "Biorąc jednak pod uwagę — pisze dalej — zupełnie niepozorne (*negligible*) wyniki reformy rolnej, wzrost ludności i depresję w okresie między r. 1930 a 1939, można szacować, że liczba i proporcja drobnych gospodarstw wiejskich w r. 1939 była substancjalnie ta sama, co w r. 1921".

Tyle p. Frankel. A teraz, weźmy pod rękę któreś z późniejszych wydań *Rocznika Statystycznego*, uwzględniające już wyniki spisu z r. 1931 i cyfry, obrazujące wyniki reformy rolnej, np. *Concise Statistical Year-Book of Poland*, wydany w Londynie w r. 1941. Dowiemy się z niego, że w okresie 1919-1938 rozparcelowanych zostało w Polsce 2.854.000 ha (tj. 6 i pół miliona akrów) ziemi rolnej i że w tymże okresie utworzonych zostało przeszło 734.000 nowych gospodarstw. Według spisu z r. 1931 gospodarstwa o powierzchni powyżej 50 ha miały w swych rękach tylko 25.8% ogółu ziemi. Odsetek ziemi posiadanej przez gospodarstwa powyżej 100 ha był oczywiście jeszcze dużo mniejszy.

A i te 25.8% dotyczy całości ziemi łącznie z lasami itd. Jeśli weźmiemy pod uwagę tylko ziemię, używaną pod uprawę rolną, okaże się, że do gospodarstw tego typu należało w r. 1931 nie więcej niż 18% całej powierzchni, w rękach zaś drobnych gospodarstw znajdowało się już trzy czwarte ogółu powierzchni ziemi użytkowej (pozostałe kilka procent przypadło na własność państwa i samorządów). W chwili wybuchu wojny — wedle oficjalnych szacowań — już tylko 14% ziemi uprawnej należało do gospodarstw posiadających ponad 50 ha. Reszta ziemi, poza nieliczną własnością publiczną, należała do drobnych gospodarstw włościańskich.

Numer niniejszy jest setnym z kolei numerem "Myśli Polskiej". Sto numerów — to już dorobek nielada, zwłaszcza w warunkach emigracyjnych, pośród trudności i kłopotów, wynikłych z życia na obczyźnie.

Nie zamierzamy robić uroczystości jakiegokolwiek z tego domowego zupełnie, redakcyjnego naszego święta, ani też gratulować sobie samym z powodu własnych osiągnięć. Czytelnik stwierdzi z łatwością, że pomimo wszelkich braków zawsze usilowaliśmy być placówką myśli polskiej istotnie, więc niezależnej od jakichkolwiek, przyjaznych czy nieprzyjaznych nam, otych i cudzoziemskich wpływów. Ze tej niezależności naszej strzeżliśmy zazdrośnie i umieliśmy ją, nawet w najcięższych dla nas godzinach, zachować.

Było koniecznością, by w zawierusze, która ogarnęła świat, nie przestały działać ośrodki samodzielnej polskiej myśli politycznej — myśli, która by trzeźwo rejestrowała i oceniała bieg przemian i wydarzeń na świecie i formułowała tą drogą wytyczne dla postawy i działania narodu polskiego. Stanowiło naszą ambicję, by jednym z takich właśnie ważnych ośrodków było nasze pismo i krąg jego współpracowników.

Ambicja ta była źródłem tego głębokiego zrozumienia, jakie istniało zawsze między "Myślą", a jej czytelnikami. Pozostaniemy jej wierni i na przyszłość, bez względu na to, jakie jeszcze cierpienia, wysiłki i zmagania fala dziejów przyniesie narodowi polskiemu.

Na przekór wszystkim mocom zła wierzymy niezachwianie w gwiazdę Polski.

Polska stanowiła więc typowy kraj drobnej własności rolnej — kraj, w którym większa własność znajdowała się w stanie szybkiego zaniku. Z krajów sąsiedzkich nie tylko Niemcy, ale i Czechosłowacja wykazywała dużo wyższy odsetek tej własności.

Mimo to — wbrew wszystkim faktom i cyfrom — p. Frankel utrzymuje, że rezultaty reformy rolnej w Polsce były *negligible*. Jest to mu niezbędne do uzasadnienia tezy, że Polska była krajem społecznego ucisku, w którym aż do wybuchu Drugiej Wojny Światowej największy głos mieli "baronowie rolni" (*land barons*).

W podobnie nonszalancki sposób załatwia się i z innymi aspektami stosunków społecznych w Polsce. Odnosi się często wrażenie, jak gdyby się czytało po prostu propagandową

broszurę komunistyczną. P. Frankel wydobyla wszystkie możliwe cienie, starannie zatajając jakiegokolwiek dane świadczące o postępie społecznym i gospodarczym Polski w ciągu dwudziestolecia wskrzeszonej niepodległości. Nie znajdziemy więc w książce ani słowa o ustawodawstwie społecznym, jednym z najbardziej nowoczesnych i postępowych na świecie, o nowych wielkich koloniach robotniczych i stopniowej likwidacji "slumsów" w Łodzi i zagłębiu węglowym, o Gdyni i C.O.P.-ie, o porządkowaniu i modernizacji miast, o stałym choć niedostatecznie jeszcze szybkim z powodu braku większej pomocy kredytowej z zagranicy wzroście stopy życiowej i konsumpcji szerokiego mas społeczeństwa, wreszcie o zaniku analfabetyzmu i silnym tempie życia kulturalnego. W świeżo ogłoszonym na łamach *Spectatora* liście prof. William J. Rose przypomniał znamienne, że kopalnie węgla na Górnym Śląsku miały lepsze urządzenia techniczne i więcej dawały gwarancji zdrowia i higieny pracującym w nich górnikom niż np. kopalnie walijskie.

P. Frankel nie chce widzieć tego wszystkiego. Dla niego Polska przedwojenna — to był jeden wielki kryminał, w którym szerokie masy ludności żyły w nędzy niekończącej się, brudzie i poniżeniu.

Nie lepiej jest, gdy pisze o stosunkach Polski z jej sąsiadami. Na str. 176 spotykamy przy omawianiu kampanii wrześniowej 1939 zgola już rozbijające twierdzenie, że "byłoby nie fair określać akcję sowiecką na terytorium polskim jako nieprzyjazną (*unfriendly*) dla społeczeństwa polskiego".

"Przyjazny" charakter akcji sowieckiej wyraził się więc prawdopodobnie w zawarciu tajnego traktatu rozbiorowego z Hitlerem w dn. 23 sierpnia 1939 r., którego treść jak wiadomo, dziś już jest dokładnie znana, w układzie Ribbentrop-Mołotow, stwierdzającym likwidację państwa polskiego, wreszcie w wywiezieniu półtora miliona obywateli polskich, mężczyzn, kobiet i drobnych dzieci, do najdzikszych okolic Z.S.S.R. na pracę katorżniczą, poniewierkę i śmierć.

Przykładów takich można by przytoczyć dziesiątki. P. Frankel pisze np. o polskiej "ekspansji na wschód" w latach 1919-20, przytacza różne nieprzyjazne głosy brytyjskie na ten temat, ani słowa jednak nie poświęca faktowi, że Polska miała jednak niejakie prawa do terytoriów, które należały do niej przez setki lat i o których powrót do macierzy walczyła. Nie porusza wcale sprawy Wilna, Ziemi Wileńskiej, Lwowa czy Małopolski Wschodniej. Wspomina przy jakiejś okazji Sir Esme Howarda, ale nie napomyka nic o tym, że ten wielki dyplomata brytyjski jako członek międzyalianckiej komisji do spraw polskich pod przewodnictwem ambasadora Noulens'a sugerował w kwietniu 1919 r. jako granicę wschodnią Polski linię niewiele odbiegającą od późniejszej linii Traktatu Ryskiego i włączającą w obręb państwa polskiego nie tylko Wileńszczyznę i Małopolskę Wschodnią, ale również Nowogródkie i Polesie, na zachodzie zaś nie tylko Poznańskie i Pomorze, ale także Gdańsk, Mazury, Warmię i cały Górny Śląsk.

P. Frankel ogranicza się do cytowania Lloyd George'a i innych głosów postulatami polskim nieprzyjaznych. Trudno o bardziej jednostronny i tendencyjny dobór cytat niż te, którymi naspikowana jest jego książka, choć na wstępie jej figuruje — oda Keats'a do Kościuszki.

Bodaj to taki "obiektywizm"!

M. E. Rojek. FREEDOM OF THE PRESS IN POLAND. Foreword by Professor Adam Pragier. London, 1946. *Union of Journalists of the Polish Republic* (with temporary headquarters in London). Stron 20.

Autor był polskim członkiem Komitetu Wykonawczego Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy Krajów Sprzymierzonych i Krajów Wolnych na rok 1945-46. Broszura napisana z okazji międzynarodowego zjazdu dziennikarskiego w Kopenhadze, omawia tragedię wolnej prasy polskiej, zniszczonej niemal doszczętnie przez obecną dyktaturę komunistyczną. W rozdziale pierwszym opisany jest stan prasy polskiej przed wybuchem Drugiej Wojny Światowej, przesładowania w czasie wojny i okupacji niemieckiej (w okresie tym poniosło śmierć 250 dziennikarzy, to jest około 25% ogólnej ich liczby), wreszcie imponujący rozwój prasy podziemnej, liczniejszej niż w którymkolwiek innym kraju okupowanym. Rozdziały następne charakteryzują pokrótce stan rzeczy, który nastąpił po wejściu armii sowieckiej, wywłaszczenie drukarni, faktyczny monopol komunistyczny w zakresie wydawania czasopism, przydziału papieru, agencji prasowych i kolportażu, zagadnienie cenzury, linię polityczną prasy komunistycznej i kontrolowanej przez komunistów, wreszcie zupełnie podobne warunki panujące dziś w Polsce w zakresie produkcji książkowej i radia.

W konkluzjach autor stwierdza:

“Wolność słowa i prasy została w dzisiejszej Polsce całkowicie zniszczona. To zdławienie wolnej prasy jest oczywiście tylko częścią szerszego procesu: zabicia w Polsce wszelkiej wolności i podporządkowania jednego z najbardziej miłujących wolność narodów dyktaturze i terrorowi garstki komunistów, popieranym przez siły zbrojne potężnego sąsiada”.

Autor apeluje do dziennikarzy nieujarzmionej części świata, by zabrali głos w obronie podstawowych zasad wolności prasy.

“Dziennikarze wolnych krajów — stwierdza na zakończenie — i ich zawodowe demokratyczne organizacje stoją dziś w obliczu szczególnie ważnego, ciężkiego i odpowiedzialnego obowiązku”.

“Zadaniem dziennikarza nie jest rozpowszechnianie tabletek nasennych ale utrzymywanie opinii publicznej w stanie trzeźwej czujności. Jest to jego właściwa racja istnienia. Jeśli świat cywilizacji zachodniej nie będzie posiadał takich prawdziwych dziennikarzy, jeśli nasz zawód spadnie do poziomu przedsiębiorstwa handlowego, wówczas wielkie dni dziennikarstwa dobiegną końca, a wszystkim, czego będziemy mogli się spodziewać od przyszłości będą posady skrybów dla dyktatorów i ich biurokracji”.

Broszura poprzedzona jest przedmową prof. Adama Pragiera, który solidaryzując się w pełni z wywodami autora stwierdza, że “sprawa wolności, podobnie jak sprawa pokoju jest jedna i niepodzielna”.

Życzyć by należało, by ta doskonale napisana książeczka znaleźć się mogła w jaknajwiększej ilości miejsc sprzedaży w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i innych krajach.

(Y.)

LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy).

REPLIKA

Szanowny Panie Redaktorze,

W zeszycie “Myśli Polskiej” za maj-czerwiec 1946 zamieścił Pan omówienie mej książki “Lata Nadziei”, a w niej kilka zdań, na które chciałbym odpowiedzieć. Autor recenzji p. P. pisze: — “Nic można przypisywać Angli odpowiedzialności za konflikt z Włochami, przynajmniej za okres od 1937 r. . . .” “Chamberlain i Halifax zrobili w tym okresie wszystko, aby odzyskać przyjaźń Włoch. . . .” Wbrew jednak zdaniom powyższym, najbardziej dramatyczny apel Mussoliniego do Anglii i stanowcza angielska odmowa wypada właśnie na rok 1938. W lutym i marcu 1938 r. Mussolini chciał “odwrócić alians”, aby nie dopuścić do Anschlussu, Anglicy odmówili. Woleli Hitlera w Wiedniu niż współpracę z Mussolinim przeciw Hitlerowi.

Bardziej mnie jednak w recenzji p. P. zabolalo inne zdanie, a mianowicie słowa następujące: “Z uwagami o zaletach kapitulacji w pierwszym rozdziale “Lat Nadziei” nie będziemy polemizowali, gdyż w późniejszych rozdziałach. . . .”

Otóż nietylko nigdy i nigdzie nie pochwalalem polityki kapitulacji, lecz zawsze i wszędzie zachwalałem politykę, która by zdążyła do uniknięcia konieczności kapitulacji. Jeśli piszę, że nie powinniśmy byli przyjmować wojny po 23 sierpnia 1939, to znaczy w chwili, kiedy już było jasne, że będzie to wojna na dwa fronty, że przyjmowanie wojny w takich warunkach było szaleństwem samobójstwem, które do niczego innego, prócz do kapitulacji prowadzić nie mogło, to tego nie można nazywać “pochwałą kapitulacji”, jak nie można dzisiaj słusznych, patriotycznych i pełnych poczucia odpowiedzialności wystąpić “Myśli Polskiej” przeciwko wzniesaniu ruchu zbrojnego w Polsce, nazywać kapitulacją. Tak teraz, jak i we wrześniu 1939, podejmowanie walki zbrojnej nie daje, względnie nie dawało nam nic, prócz klęski i nie-szczęścia, z tą jedynie różnicą że wtedy więcej mieliśmy do stracenia, bo mieliśmy jeszcze terytorium, organizację państwową i armię, podczas gdy dzisiaj mamy w kraju tylko pseudo-polską organizację państwową i pseudo-polską armię. Każdy dowódca plutonu wie, że bój można przegrać tylko w odpowiednich warunkach; każdy pilot myśliwskiego aeroplanu przyjmuje bój nie wtedy, gdy tego zechce nieprzyjaciel, lecz wtedy gdy on sam ma szansę zwycięstwa; każdy kapitan okrętu wojennego cofa się przed przyjęciem boju, gdy nie ma możliwości wygranej i nikt takich taktycznych cofnięć się kapitulacją nie nazywa, a tylko męską żołnierską przezornością, dowodem zimnej krwi i rozumu.

Książka moja opatrzona była jako w motto, w słowa Piłsudskiego: “Wy w wojnę bez mnie nie leżcie, wy ją bez mnie przegracie”, Wobec pewnych ech prasowych, chciałbym, korzystając z okazji listu niniejszego, stwierdzić, że powyższych słów Marszałka Piłsudskiego sam nie słyszałem, lecz powtórzone mi one były przez osobę na tyle czcigodną

że za ich niewątpliwą autentyczność całkowita na siebie odpowiedzialność przyjąć mogę. Zresztą mamy dokument dyplomatyczny wyjaśniający nam poglądy Piłsudskiego na rolę Polski w nadchodzącym kryzysie, wypowiedziane przez niego, w wigiliję niemal jego zgonu. Jest nim depesza brytyjskiego ambasadora Kennarda z 2 kwietnia 1935. Wynika z niej, że marsz. Piłsudski nie chciał się wiązać z żadnym z obozów, gotujących się do wojny, stąd można wnioskować, że chciał się przytrzymać neutralności w zbliżającym się kryzysie wojennym. Natomiast min. Beck obiażał się, gdy nas do Monachium nie zaproszono zamiast się z tego cieszyć, sięgał po Bogumina w nieodpowiedniej chwili, wreszcie w marcu 1939 przyjął bezwarunkowe gwarancje angielskie, co zaszeregowało Polskę po jednej ze stron i spowodowało, że Polska pierwsza padła ofiarą agresji niemieckiej. Jeśli piszę “bezwarunkowe gwarancje”, to wyrażam się tak nie przez “zacieńczenie”, które mi niektórzy recenzenci mej książki przypisują, lecz właśnie dlatego, że pisząc o wielkich wydarzeniach historycznych należy wyrażać się ściśle i nazywać rzeczy ich właściwymi imionami. Gwarancje angielskie, wypowiedziane 31 marca 1939 w parlamencie przez premiera Chamberlaina okazały się bez wartości w dalszym rozwoju wypadków historycznych. Anglia nie potrafiła ani ocalić Polski przed okupacją wojsk niemieckich i rezyjskich w 1939, ani też ocalić naszej niepodległości w 1945, nawet już po swoim zwycięstwie nad Niemcami.

Nie twierdzą oczywiście, że mogliśmy zachować neutralność aż do końca wojny, tak jak potrafiła to zrobić Szwecja, która nie dała się wciągnąć do kampanji fińskiej, ani Hiszpania, która nie dała się skusić na zajęcie Gibraltaru. Państwa te były w lepszej od nas sytuacji geograficznej. Ale twierdzą, że mogliśmy nasze wejście do wojny opóźnić na czas pewien, tak jak potrafił to zrobić Stalin, który opóźnił napaść Hitlera na Rosję o dwa lata i właśnie dlatego pozostał na placu w całej glorii niezłomnego wroga hitlerizmu. Każdy rok, każdy niemal miesiąc naszej neutralności w rozgrywce światowej byłby dla nas niesłychanym plusem i zyskiem. Polityka najgorsza polegała właśnie na tym cośmy zrobili, na straceniu wszelkich samodzielnich sił państwowych w ciągu pięciu lat dwóch tygodni wielkiego kryzysu światowego.

Racz Par, Panie Redaktorze, przyjąć wyrazi szacunku.

STANISŁAW MACKIEWICZ.

Londyn, dn. 19 czerwca 1946 r.

JAK ZGINĄŁ ŚP. STANISŁAW PIASECKI

Szanowny Panie Redaktorze,

W r. 1942 ogłoszone zostały w Londynie szczegóły śmierci jednego z najwybitniejszych dziennikarzy polskich, śp. Stanisława Piase-

ckiego. Piasecki zginął na stanowisku, w czasie pracy dziennikarskiej, zamęczony przez Niemców. Był założycielem i pierwszym redaktorem "Walki", głównego podziemnego organu Stronnictwa Narodowego w czasie okupacji niemieckiej.

Szczegóły śmierci Stanisława Piaseckiego (bez podawania jego nazwiska, co wówczas było niemożliwe) rozszły się szeroko po świecie. Drukowała je obszernie prasa brytyjska i amerykańska, podawało kilkakrotnie B.B.C., drukowała je również "Myśl Polska".

Sądzą, że z jej łamów przeszły one do zakończenia szkicu o Piaseckim, napisanego przez Karola Zbyszewskiego do I tomu "Strat Kultury Polskiej" (Książnica Polska, Glasgow, 1945).

Okazuje się dziś, że podane swego czasu szczegóły nie we wszystkich punktach zgodne były z okolicznościami męczeńskiej śmierci Stanisława Piaseckiego. Przebieg wypadków miał charakter jeszcze bardziej dramatyczny, a zachowanie się Piaseckiego jeszcze wspanialej podkreślało typ walczącego dziennikarstwa polskiego.

Pomyłki w zarysowaniu szczegółów śmierci Piaseckiego były zawinione przez mnie, co w pewnym stopniu usprawiedliwia niedostateczność ówczesnych materiałów informacyjnych. Aby uzupełnić lukę i sprostować pomyłki, proponuję Panu Redaktorowi przedrukowanie artykułu o Stanisławie Piaseckim, na który natrafiłem w jednym z tygodników wychodzących obecnie w Polsce. "Tygodnik Warszawski", pismo wydawane przez Katolickie Towarzystwo Wydawnicze "Rodzina Polska", zamieściło w numerze z dnia 9 czerwca b.r. wspomnienie o ostatnich chwilach Piaseckiego p.t. "Pierwszy redaktor 'Walki'". Autor artykułu podpisał się tylko inicjałami W.Z., lecz z treści wynika, że musi być nim człowiek, który czerpie materiał z dobrych i dokładnych źródeł.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

JÓZEF KISIELEWSKI.

Londyn, dnia 24 czerwca 1946.

Od Redakcji

Zyczenie autora listu spełniamy z całą gotowością. Wspomniany artykuł "Tygodnika Warszawskiego", nawiązując do szkicu w "Stratach Kultury Polskiej", w taki sposób zawarte w tym szkicu informacje prostuje:

"Po upadku Warszawy w r. 1939 Stanisław Piasecki orientuje się w nowej potwornej rzeczywistości i natychmiast organizuje jedno z pierwszych pism tajnych: "Walkę", które przeżyć miało nie tylko jego, ale i czterech następnych redaktorów, wszystkich poległych na posterunku. Celem ułatwienia sobie i gronu współpracowników działalności, zakłada kawiarnię artystyczną "Arcadia", w ruinach Filharmonii warszawskiej.

"W końcu roku 1940, po niezliczonych wysiłkach Niemcy wpadają na trop "Walki". Piasecki czuje jak sieć zaciera się coraz bardziej dokoła niego, ale nie myśli o bezpie-

czeństwie osobistym. Piśmo musi wychodzić regularnie, obowiązek dziennikarza musi być spełniony w każdych okolicznościach. I wreszcie nadchodzi katastrofa.

"Miał już ulec namowom przyjaciół i przestać nocować w domu ale tego dnia było jakieś ważne zebranie, więc wrócił jeszcze raz i to w dodatku z małą, ale niezwykle kompromitującą notatką. Późnym wieczorem przyszli. Na razie wzięli tylko jego samego, zostawiając żonę. Wychodził bardzo spokojnie. Przed wyjściem uklęknął przy łóżeczku śpiącej córeczki i ucałował dziecko.

"Tego samego dnia oddziały policji i wojska niemieckiego otoczyły blok domów, gdzie znajdowała się drukarnia "Walki". Był tam zastępca Piaseckiego, jeszcze jeden redaktor i zecerzy. Widząc, że nie ma wyjścia, chwycili za broń i bronili się rozpaczliwie, aż dopóki Niemcy nie spalili całego budynku. Nikt nic wyszedł żywy. Później aresztowano panią Piasecką i wysłano do Ravensbrueck.

"Tu zaczyna się epopeja walki Piaseckiego z Gestapo. Przez miesiąc trzymany jest na Szucha. Znosi wszystko i nikogo nie wydaje, mimo tortur. Już w pierwszym tygodniu potrafi wysłać do jednego z kolegów na Pawiaku gryps: "Grozi mi pewny stryczek", a w dwa dni potem: "Wykreśliłem się na razie". Następnie potrafi też wysłać obszerniejszą wiadomość o kierunku śledztwa, o tym, co wie Gestapo i ostrzeż kilkunastu ludzi nieświadomych niebezpieczeństwa.

"W dniu Nowego Roku 1941 zostaje przeciwny na Pawiak.

"I natychmiast wraca do roboty. Tam na Pawiaku zdolny jest pisać, redagować "Walkę" i wysłać materiał do druku. "Walka" wychodzi bez przerwy mimo zniszczenia drukarni, wybitia personelu i uwięzienia redaktora. Wśród strażników ma ślepo oddanych ludzi, którzy wynoszą nie tylko rękopisy, ale i polecenia organizacyjne. W obliczu pewnej śmierci redaguje pismo tajne, działa organizacyjnie, przewodzi, na przekór wszystkim mocom zła. Śmierć jest nieuchronna, bo Niemcy zebrali materiał wystarczający i Piasecki, aby ocalić innych, wziął wszystko na siebie. Przyjął całą winę i nie podał ani jednego nazwiska. Zachowywał się tak twarde, że Gestapo uznało, że z tego człowieka nic już nie wydobędzie i dało spokój, a nawet zaczęło go otaczać czymś w rodzaju zabobonnego szacunku. Pisze jeszcze długie, pożegnalne listy do żony, wydaje dyspozycje organizacyjne i ostatnie instrukcje redakcyjne.

"Wzywany jest raz po raz na Szucha i tam toczy walkę, wymagającą nie tylko nadludzkiej woli i wytrzymałości narodojowej ale także i niezwykłego sprytu. Jest to już walka nie o własne życie, ale o życie kolegów, o życie żony i rodzin dwóch współpracowników. Walka tym trudniejsza, że jacyś przypadkowo aresztowani ludzie obciążają go w przekonaniu, że i tak mu ni: nie pomoże, a jemu już chodzi nie o siebie. Tak trwa przez pół roku. Pół roku badań, pracy pisarskiej i organizacyjnej, prowadzonej z więzienia. Pół roku walki, jakiej nie ma przykładu.

"Dwunastego czerwca 1941 Stanisław Piasecki zostaje wywieziony z Pawiaka w niewiadomym kierunku, w drogę z której się nie wraca. Jeden z tych niewielu ludzi którzy po sobie naprawdę pozostawiają lukę."

MIMOCHODEM

W nr. 13 "Tygodnika Polskiego" z dnia 8 czerwca br., organu p. Strasburgera w Londynie, znajdujemy następujący limeryk p. Janusza Minkiewicza:

*Zachciało się powojnej niewieście w Skarżysku
Przejechać się konno na małym tygrysku . . .*

*Przybyli z wyprawy w porządku:
Dama w tygrysim żołądka.*

A tygrys z uśmiechem na pysku.

Zaś w "The Limerick Book" Langford Reed'a (*The Oxford Dictionary of Quotations*, Oxford University Press, Fourth impression, 1944, str. 527) czytamy:

*There was a young lady of Riga,
Who rode with a smile on a tiger;
They returned from the ride
With the lady inside,
And a smile on the face of the tiger.*

P. Minkiewicz nie uznał zgola za stosowne podać źródła swych natchnień. Widocznie — idąc w ślady obecnych rządców Polski — chce okazać pogardę dla prawa własności. A może tylko zapatrzył się w mistrza Rzymowskiego?

(K.)

KSIAŻKI NADEŚLANE

Leonard Kociemski: ŻYWA LEGENDA. Rzecz o hymnie "Jeszcze Polska nie zginęła" i Józefie Wybickim. Rzym, nakładem Dom Wydawniczy. Stron 63.

Aleksander Bregman: CZY MOŻEMY LICZYĆ NA AMERYKĘ? Wrażenia ze Stanów Zjednoczonych. Rzym, nakładem Oddziału Kultury i Prasy II Korpusu A.P. Stron 163.

Treść Nr. 100 (Rok VI, Nr. 5) "Myśli Polskiej": WYBORY W EUROPIE; SPRAWA NASZYCH ZIEM WSCHODNICH (Bilans dwudziestolecia i perspektywy przyszłości) — Jędrzej Giertych; WKŁAD WOJSKOWY STRONNICTWA NARODOWEGO W KRAJU 1939-1944 — St. Bul; KONIEC POCZDAMU? — Glossator; AKTUALNOŚĆ DŁUGOSZA — Władysław Folkierski; OSTATNIA PRZYSTAŃ CONRADA — Aleksandra Poleska; LIRYKI — Jerzy Pietrkiewicz; UWAGI; KULTURA I ŻYCIE — J.P.; PRZEGLĄD WYDAWNICTW; LISTY DO REDAKCJI (Replika — Stanisław Mackiewicz, Jak zginął St. Piasecki? — Józef Kisielewski); MIMOCHODEM — (K.);

"MYŚL POLSKA"

założona w 1941 r. w Londynie,
ukazuje się raz w miesiącu.

Redakcja i Administracja:
24, Wellington Road, St. John's Wood,
London, N.W.8. Tel. PR1mrose 4350

Prenumerata półrocznie (6 numerów)
12s. lub 34.

Prenumerata rocznie (12 numerów) —
£1 4s. 0d. lub 88.